

WYDAWNICTWO IMIENIA STASZYCA

K. i W. Humniccy.

ANGLJA
i
ANGLICY.

Skład główny w „KSIĘGARNI POLSKIEJ“

Warecka 115 kiel

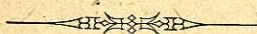
Grudzień 1908 Gr 15 onz

Prus. Zec. W. P.

WARSZAWA

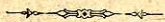


ANGLJA i ANGLICY.




Opracowali

K. i W. Humniccy.



WARSZAWA.

Skład główny w „Księgarni Polskiej“, Warecka 

1908.

15

ROZDZIAŁ I.

Ludność Anglii. Przywiązanie do przeszłości. Miłość przyrody. Korzystne położenie geograficzne. Olbrzymie miasto. Mgły londyńskie. Kolej podziemna. Sity. Tewel. Westminster.

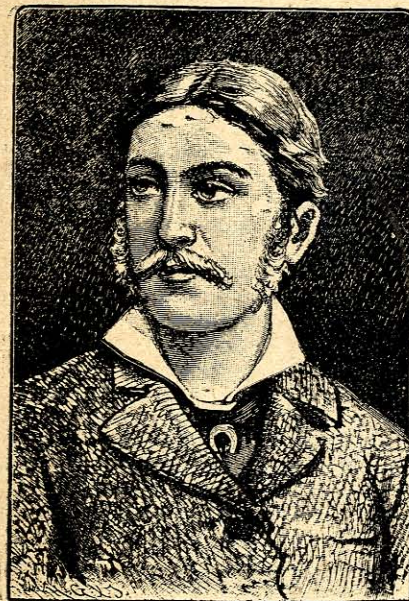
Anglicy zamieszkują południową część jednej z największych wysp europejskich, należącej do Archipelagu Brytańskiego; rozszerzyli oni jednak swoje panowanie we wszystkich częściach świata i ich posiadłości zajmują więcej, aniżeli siódmą część całej powierzchni ziemi. Rozpoczynając swoje zdobycze, naród angielski należał do najmniej licznych w Europie. Okręty angielskie, udając się w dalekie nieznane kraje, zawiązywały stosunki handlowe i zakładały kolonie. Niezależnie od tego podróżnicy angielscy znacznie się przyczynili do rozpowszechnienia języka i wpływów Anglii. Tylko jednym Holendrom Anglicy ustępują pierwszeństwa w energii, wytrwałości i zdolnościach kolonizacyjnych. Zjawienie się Anglików okazywało się często zgubnym dla tubylców. W Australji szczepy miejscowe prawie zupełnie zniknęły, w Tasmanji nie zostało obecnie ani jednego krajowca. W Stanach Zjednoczonych, które swojego czasu były również kolonią angielską, wyginęło bardzo wielu Indian. Gdzie zaś ludność tubylecza była zbyt liczną i odporną, aby zostać całkowicie pochłoniętą, uległa ona silnemu wpływowi Anglików. W Azji Anglicy zmusili Chińczyków do

otworzenia portów dla Europy i wpłynęli w znacznej mierze na przyjęcie przez Japonję cywilizacji europejskiej. W przeciągu ostatnich pięćdziesięciu lat Anglicy przeprowadzili w Indiach daleko donioślejsze zmiany, aniżeli te, które tam zaszły w ciągu dwudziestu wieków. Indje pokryły się siecią dróg żelaznych, powstały szkoły, uniwersytety. Cały wewnętrzny ustrój tego strupieszalego państwa zmienił się gruntownie, zaczerpnąwszy wzorów nowego życia od swoich zdobywców. Wprawdzie ci zdobywcy traktowali Indje, jak prowincję zdobytą, i wypierali krajowców z wielu placówek, ale jednocześnie obudzili ich ze snu wiekowego i wszczepili w nich żądzę swobody i niezależności. Teraz Indowie domagają się szerokiego samorządu, a kiedy go otrzymają, będą wdzięczni swoim nauczycielom.

Archipelag brytański składa się z dwóch wielkich wysp: Brytanji i Irlandji, stanowiących zjednoczone królestwo, oraz z 224 wysp małych i 707 maleńkich niezaludnionych wysepek. Ludność składa się z kilku szczepów, które długo prowadziły ze sobą zaciętą walkę. Przodkami obecnych Anglików są Celtowie, Bretończycy, Germanowie, Saksowie i Norwegowie. W czasie prześladowań religijnych na lądzie stałym Europy, w Anglji znajdowały schronienie tłumy prześladowanych różnych narodowości. Obecnie jednak Anglicy stanowią jednolity naród, który przedewszystkim zadziwia nas swoją siłą woli i dzielnością. Cała historia Anglji pełna jest przykładów zdumiewającego hartu i mężstwa.

Jeden z autorów porównuje Anglików z buldogiem, który raczej da się porąbać, aniżeli pozbawić zdobyczy;

i w istocie Anglik mocno trzyma rękoma, co niemi wypracował, przedewszystkim mając na widoku korzyść własną i swego kraju. Wielu uważa go za zimnego samoluba; posiada on jednak uczucia silne i głębokie,



Młody Anglik.

z którymi stara się nie zdradzać, uważając to wręcz za uchybiające własnej godności.

Prawda, — historia przechowała dużo przykładów srogości angielskiego wojownika, ale z czasem, dzięki wytrwałej pracy nad sobą i silnej woli, Anglicy zmienili się w łagodnych i wytwornych dżentelmenów, jakich znamy obecnie. Właściwe im zamiłowanie do wolności i niezależności sprawiło, że niema narodu, któryby cie-

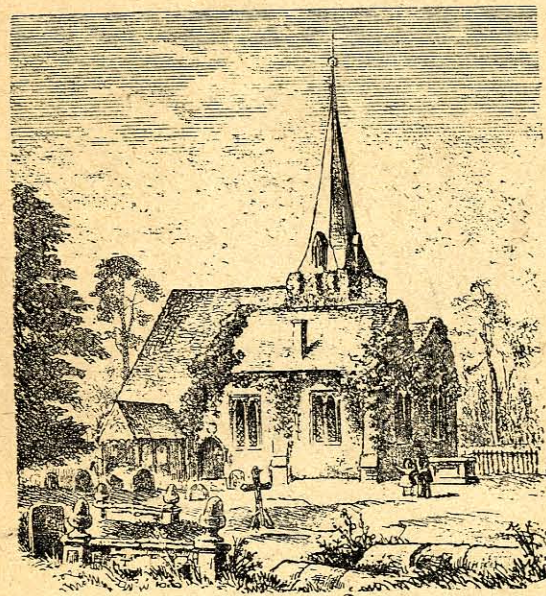
szyl się większymi swobodami i prawami politycznymi. Nie przeszkadza mu to miłować swej przeszłości i troskliwie przechowywać wiele dawnych obyczajów, pozbawionych obecnie istotnego znaczenia. Tak np. dozorczy gmachów królewskich, sędziowie, adwokaci, ba! nawet prezes parlamentu,—i obecnie obowiązani są przywdziwać podczas urzędowania swój strój średniowieczny.

W każdym miejscu i w każdym czasie Anglik jest zawsze sobą. Naprzykład dzień Bożego Narodzenia spędza jednakowo, czy to w Londynie, czy na południu Afryki; podróżnik, wybierający się do bieguna północnego, z pewnością nie zapomni zaopatrzyć się w kawałek plum-pudinga*), aby go spożyć przy wigilijnym stole. Od wczesnej młodości Anglik zaprawia się do liczenia na własne siły, przyzwyczajają się zwalczać znużenie, chorobę, niebezpieczeństwo; nie lęka się ani chłodu, ani głodu, a wszędzie,—w skwarnej pustyni, czy podczas burzy morskiej, — zachowuje spokój i równowagę. „Dziwnym się wydaje“—mówi pewien autor angielski,—„jak prawie wszyscy nasi synowie lubią niebezpieczeństwo: nie zabraknie nigdy chętnych wdrapać się na wysokie drzewo, przepłynąć bystre nurty rzeki, iść na polowanie. Małeńki Tom, udając się do szkoły, spędza chłodny poranek na wierzchu omnibusa i za nic nie chce siąść do środka, bo jak prawdziwy Anglik pragnie doznawać i zwyciężać przeciwności“. Od dzieciństwa kładą mu w uszy: „masz być człowiekiem!“—i od dzieciństwa wstydy się on płakać lub zdradzać swoją bezsilność. Robi się rzut-

*) Plumpuding — ciasto z rodzynkami, stanowiące narodowy przysmak Anglików.

kim, śmiałym i przedsiębiorczym,—chętnie staje w obronie uciśnionych i bezradnych. Małeńki chłopczyzna bez namysłu zasłania sobą dorosłą kobietę przed stadem rozpedzonych wołów...

Dzięki właśnie tym zaletom charakteru, Anglicy uzyskali wpływ przeważający nad wieloma ludami i każą się szanować nawet tym, którzy ich nienawidzą i uważają za samolubów bez serca.

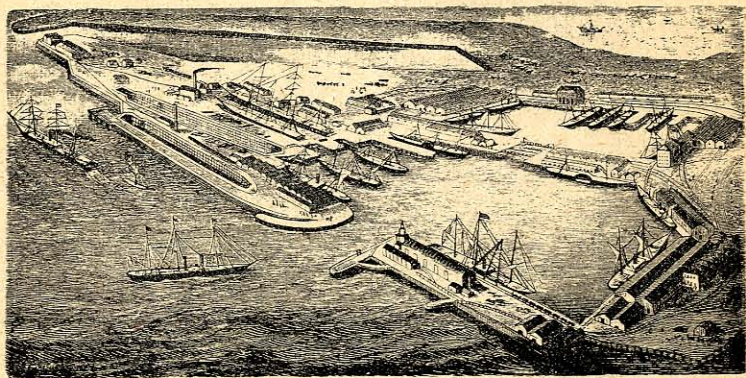


Kościółek we wsi angielskiej.

Anglik kocha przyrodę, wieś, świeże powietrze, las, a nade wszystko morze. Przebija to na każdym kroku. Pola i łąki otoczone są żywopłotami, domy wśród drzew, obrośnięte bluszczem i dzikim winem; niemasz w An-

glji biedaka, któryby nie zdobył się na trochę zieleności i kwiatów koło swej chaty. Dzięki temu wieś angielskie posiadają osobliwy urok,—nie mówiąc już o starożytnych zamkach magnackich, otoczonych wspaniałymi parkami, czyli ogrodami z drzew dzikich. Kominy fabryczne kryją się również poza drzewami, a w wielu miejscowościach fabrycznych domki robotników poprostu toną w zieleni.

Miłość przyrody wiąże się z zamiłowaniem do podróży. Anglik szuka pięknych zakątków, malowniczych



Port morski w Sutamptonie.

krajobrazów, wdrapuje się na najwyższe szczyty, lekceważy niebezpieczeństwo, aby tylko nacieszyć się pięknym widokiem.

Zjednoczone królestwo Anglii, Szkocji i Irlandji zajmuje przestrzeń 314 tys. wiorst kw.—nieznaczną w stosunku do swoich kolonji, z ludnością 40 milionów, wobec 350 milionów ludności kolonji. Właściwa Anglja zajmuje południową część wyspy Brytanji, północną stanowi Szkoc-

ja. Obydwie obfitują w głębokie zatoki i liczne porty.

Samo położenie geograficzne Anglii, jako wyspy leżącej na wielkim gościńcu morskim z Europy do Ameryki, przyczynia się wielce do rozwoju handlu. Jeżeli oprócz tego weźmemy pod uwagę, że Anglicy otrzymali w spadku po Holendrach i Normandach zamiłowanie morza i jego niebezpieczeństw, a także i to, że większość rzek angielskich, chociaż krótkich, jest spławną, dzięki czemu duże okręty mogą zachodzić daleko w głąb kraju,—to łatwo zrozumieć, że żegluga i handel stały się ulubionym zajęciem Anglików.

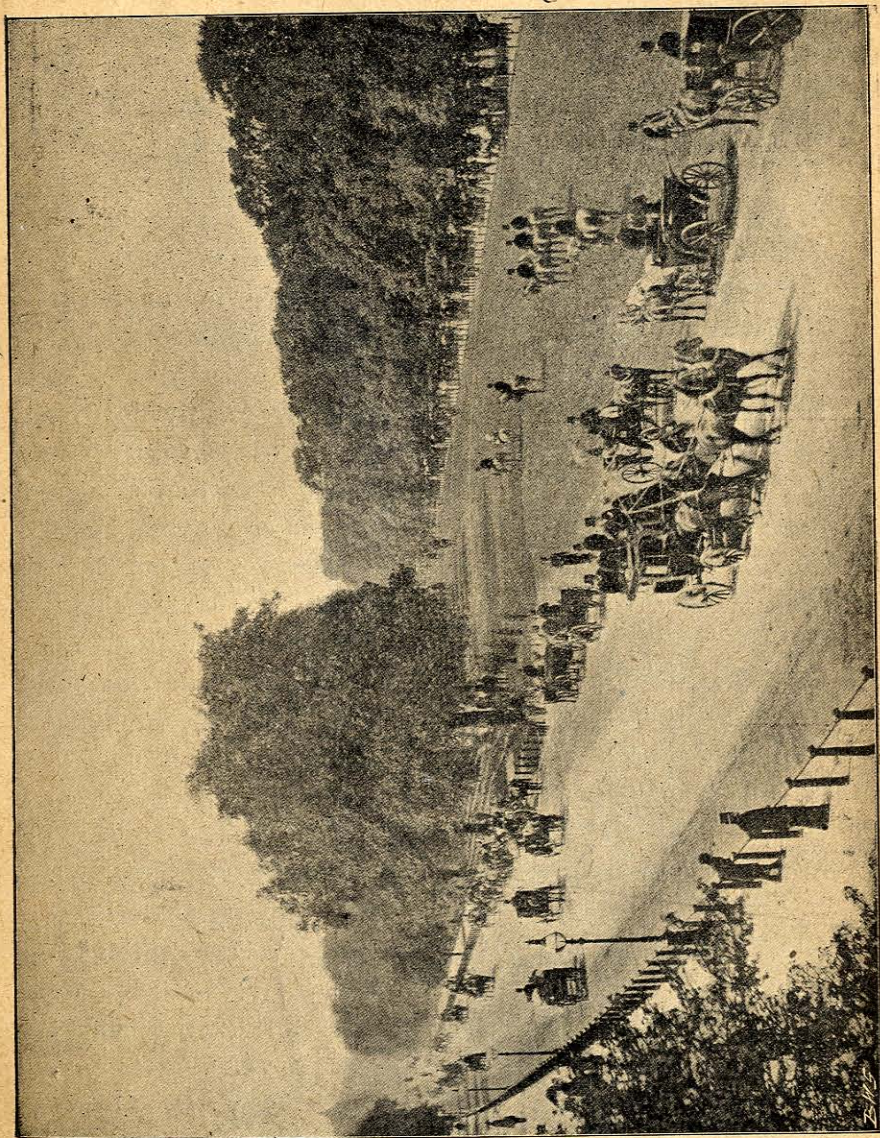
Stolica Anglii, Londyn, jest największym miastem w świecie, tak co ludności, jak i co do obrotów handlowych. Londyn leży nad rzeką Tamizą, która falisto toczy



Most zwodzony na rzece Tamizie, w chwili przepuszczenia statku.

swe wody po wielkiej równinie zielonych łąk, oblewając strome wzgórze, na którym zbudowany jest Windsor, — wspaniały zamek królewski, stanowiący prawdziwe muzeum sztuki. Na przeciwległym brzegu znajduje się szkoła Itońska, założona w piętnastym stuleciu. Początkowo była to szkoła i zakład dobroczynny dla starców, których obowiązkiem było modlić się za króla. Z biegiem czasu stała się najbardziej wziętym zakładem naukowym, uczęszczanym przez synów najbogatszych i najznakomitszych rodzin. Nieco dalej z biegiem rzeki leży wyspa Magna Charta, gdzie w roku 1215 na Runimeckiej polanie król Jan Bez-Ziemi zaprzysiął Wielką Kartę, która ograniczyła władzę królewską; stanowi ona kamień węgielny angielskiej konstytucji, zapewniającej narodowi prawo stanowienia o własnych losach zapomocą Zgromadzenia swoich przedstawicieli, czyli parlamentu. Każdy podróżny, płynąc Tamizą, mimowolnie przypomina sobie tę historyczną chwilę, która stała się początkiem szczęśliwości angielskiego narodu.

Londyn ma 6 milionów mieszkańców i właściwie stanowi szereg miast z rozmaitych czasów historycznych, o rozmaitym wyglądzie, które stopniowo zbliżały się, aż się ze sobą zlały. Żartobliwie nazywają Londyn prowincją zabudowaną domami. Zdaje się, że niemasz końca temu olbrzemiemu miastu, które w swoim nieubłaganym rozroście zagarnia pola, lasy i łąki. Tysiące ludzi rodzi się i umiera, nie wychylając się poza granice miasta i widząc drzewa i łąki tylko na placach i w parkach miejskich, których istotnie Londyn ma bardzo wiele i pięknych. Największy z nich—Hajd Park—ma i rzekę, i jezioro, i ogromne łąki, na których



Ogród publiczny spacerowy, zwany „Hajd-Park”

pasą się stada owiec i bydła rogatego,—słowem jest to prawdziwa wieś w środku miasta.

Niestety, mieszkańcy Londynu mało mogą korzystać z przebywania na świeżym powietrzu z powodu bardzo częstych deszczów i mgły; przytym powietrze Londynu i najbliższych jego okolic jest tak przesycone pyłem, kurzem i dymem z niezliczonych kominów fabrycznych, że czarne sadze osiadają nietylko na ścianach domów, ale na trawnikach i liściach drzew. Przysłowie angielskie mówi: „w czasie pogody nie zapominaj o parasolu; podczas deszczu rób, jak uważasz“.

Jeszcze przykrzejszemi od deszczu są mgły londyńskie, szczególnie zimą i jesienią. Mglistych dni bywa rocznie koło 90; kilka zaś jest takich, że robi się ciemno, choć oko wykol. Dzień zdaje się zmieniać w noc, której ciemności nie jest w stanie rozproszyć światło latarni ulicznych, — i przechodzień każdej chwili może się potknąć o słup latarni, telegrafu lub tramwaju, lub też wpaść pod koła powozu. Służba policyjna wskazuje drogę przechodniom z latarką w rękę, a konie napróżno wycęzają wzrok, aby przeniknąć ciemności. Taka mgła stanowi rodzaj święta dla biednych chłopców ulicznych, którzy za niewielką opłatą, wesolo pokrzykując, wskazują latarkami drogę przechodniowi.

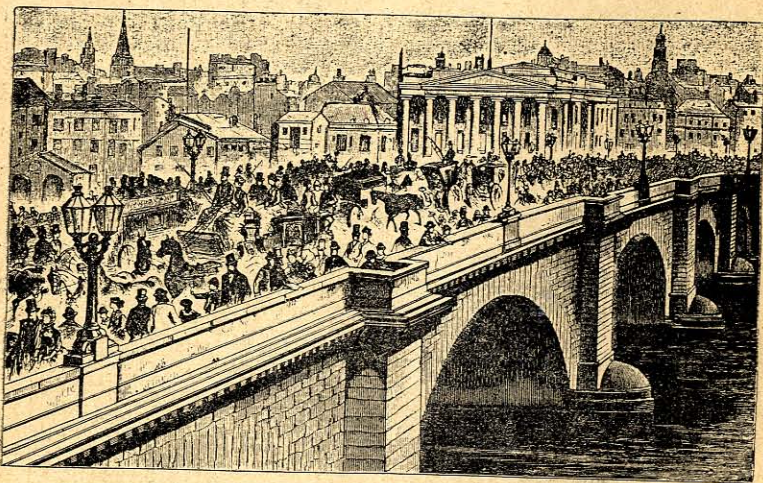
Karol Dickens, jeden z największych angielskich pisarzy, tak opisuje mgłę londyńską: „Dzień był mglisty, mgła była czarna i ciężka. Londyn żyjący z chorobliwie zmrużonemi oczyma kurczył się, kaszlał i dusił; Londyn nieżyjący — był jakąś ciemną marą, nie wiedząc, na co się zdecydować: czy być widzialnym, czy niewidzialnym.

Lampki gazowe po sklepach i na ulicach rzucały mdle światło, a słońce, które czasem na parę minut ukazywało się zpoza barwnych kręgów mgły, zdawało się zupełnie płaskim, mętym i zimnym. W okolicach Londynu mgła była szarą; na przedmieściach burą, brązową; wreszcie w samym środku miasta czarną, jak sadze“.

Szczególniej w rannych godzinach, kiedy każdy spieszy za swemi sprawami, ulice Londynu zapchane są ogromną ciżbą; najrozmaitszego rodzaju powozy i wozy mijają się i krzyżują z pieszym tłumem. Na rogach ulic stoi służba porządku publicznego — polismeni, o wspaniałej postawie, nieruchomi i spokojni, jak posągi. W razie zamieszania ulicznego lub zatamowania ruchu pojazdami, milczący policjant podnosi rękę do góry, wskazuje pojazdom właściwy kierunek — i porządek zostaje momentalnie przywrócony.

Olbrzymi tłum porusza się i pod ziemią zapomocą kolei podziemnej, która daje znać o sobie głuchym łoskotem. Oto co o niej pisze Sienkiewicz: „Rozchodzą się koleje podziemne pod całym miastem, biegną pod ulicami, pod domami, pod Tamizą. Przychodzimy nad jakąś obszerną jamę w kamienicy, a w tej jamie widać schody wiodące na dół. Kupujemy bilet i, zszedłszy kilkadziesiąt stopni, znajdujemy się na obszernej stacji kolei żelaznej. Jedna lokomotywa odchodzi, druga, która ma nas zabrać, właśnie się zbliża. Wsiadamy. Pociąg biegnie jak szalony, lokomotywa huczy, jak zwyczajnie w podziemiu. Powietrze jest duszne, napelnione wonią węgla i siarki; zaczyna nam braknąć oddechu. Przelatujemy jak wicher od stacji do stacji; jedni wsia-

dają, drudzy wysiadają. Przez chwilę w szybach wagonu mignęło światło dzienne, potem znów ciemno i coraz duszniej... Nakoniec lokomotywa staje, wysiadamy i znów oddecham pełną piersią: jesteśmy na ulicy, wśród białego dnia, sklepów, powozów, natłoku ludzi i deszczu“.

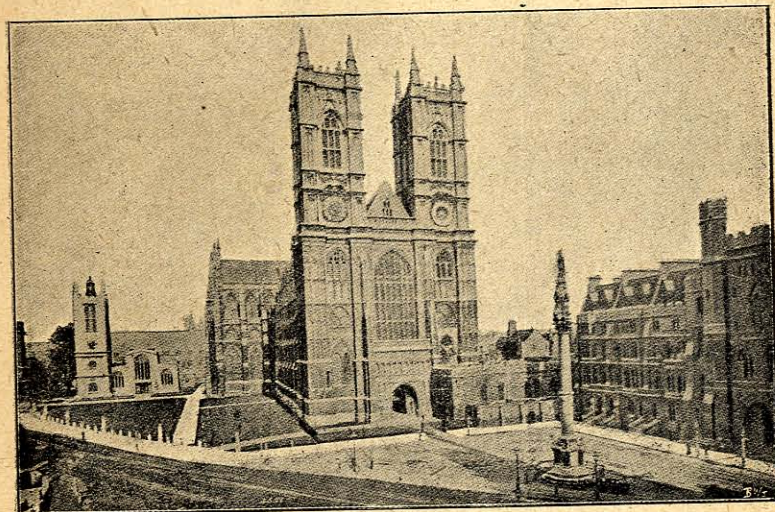


Ruch ludzi i pojazdów na moście londyńskim.

Most londyński, który łączy Sity, czyli stare miasto, z Londynem, zalany jest prawdziwym potokiem ludzkim. Sity poprzednio stanowiło oddzielne miasto, właściwy stary Londyn, który z biegiem czasu zrósł się z Londynem nowoczesnym. Sity zaludnione jest tylko podczas dnia; wieczorem i w dni świąteczne spotkać tam można tylko dozorców gmachów i polismenów. Za to w dni powszednie, od wczesnego ranka, tłumy dążą do Sity, do swoich biur, banków, warsztatów i magazynów. Tu codziennie odbywają się miljonowe obroty handlowe i dostarczają się towary z całej kuli ziemskiej. Pod wie-

czór zaczyna się odpływ tłumów, które w Sity nie mieszkają, tylko pracują i zarabiają pieniądze.

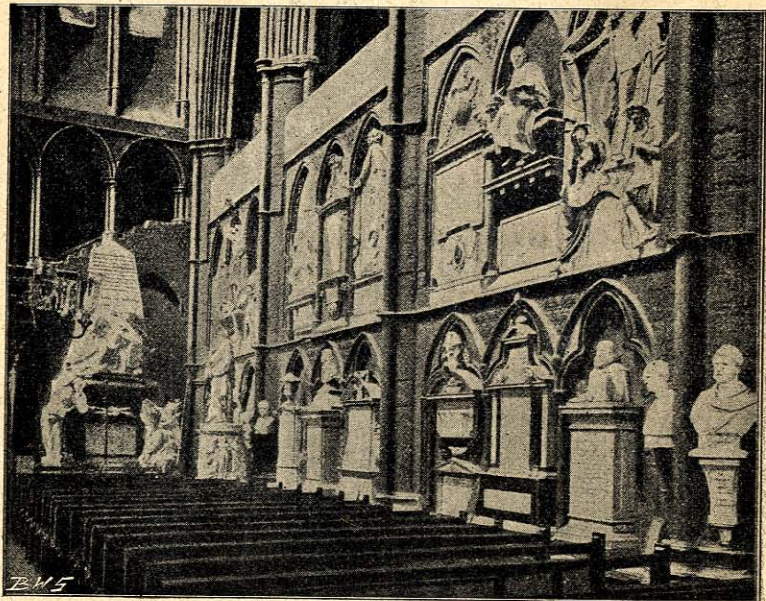
Ze starożytnych gmachów Sity zasługują na uwagę: ratusz i katedra św. Pawła, co do wielkości trzecia w świecie. W katedrze mnóstwo jest pomników i posągów wielkich ludzi Anglii, a jej osobliwość stanowi zegar i wielki dzwon, który rozlega się w dzień śmierci króla lub członków rodziny królewskiej. W „galerji szep-



Opactwo Westminsterskie.

tów“ slychać najmniejszy szmer z odległości 140 kroków. Ku wschodowi od starego miasta mamy ponury zamek Tower. Część tej twierdzy, zwana Białą wieżą, zbudowaną została przez Wilhelma Zdobywcę w roku 1078, na dawnych fortyfikacjach rzymskich, z czasów, gdy Rzymianie panowali w południowej Anglii. Z twierdzą tą łączy się dużo krwawych wspomnień. Do roku 1820

Tower był więzieniem politycznym i na jego podwórku przed bramą kościelną padały pod toporem katowskim głowy ludzi, którzy wpadli w niełaskę królewską. Dwa razy lud opanowywał Tower i uwalniał więźniów, ale nie zburzył go,—i ten zabytek przeszłości pozostał nie-
tknięty. Jeszcze dotychczas jeden z głównych urzędników



Wnętrze Opactwa Westminsterskiego:
Zakątek poetów narodowych.

Toweru zachował tytuł „dozorcy więźniów“, których obecnie wcale tam niema; natomiast przechowują się starożytnie zbroje, narzędzia tortur i brylanty koronne. Bardzo ciekawym kościołem londyńskim jest katedra św. Piotra, zwana zwykle Opactwem Westminsterskiem, od naz-

z czasem zrosło się z Londynem. Westminster jest zabytkiem z XIII wieku, a więc nieco późniejszym od Toweru. Królowie angielscy koronują się tam; tam również znajdują się groby królewskie, oraz pomniki najlepszych synów Anglii,—uczonych, podróżników, mężów stanu. W tak zwanym zakątku poetów są pomniki Szekspira, Dikensa, Roberta, Burnsa i wielu innych. Tuż obok Westminsteru znajduje się gmach parlamentu angielskiego, instytucji, która wszechwładnie rządzi krajem.

ROZDZIAŁ II.

Parlament, jego historia. Izba lordów. Izba gmin. Zwyczaje i ceremonjał parlamentu. Kapelusz w parlamencie. Dżentelmen, który usiadł na swoim kapeluszu. Kto wraca do domu?

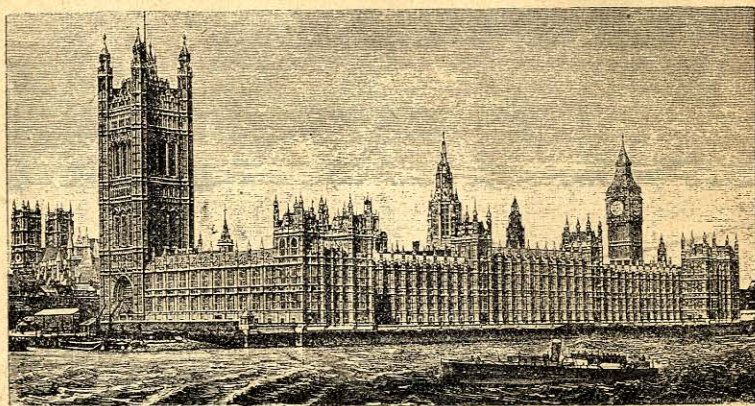
Parlament angielski jest najwyższą władzą krajową. Parlament stanowi prawa, może je zmieniać lub obalać według swego uznania. Parlament mocen jest zmienić ustrój wewnętrzny królestwa i zniweczyć rozkazy króla; Anglicy mówią, że parlament może nawet samego siebie unicestwić. Ale niema siły, któraby mogła zmienić uchwałę parlamentu, ponieważ to jest wola ludu, której wyrazicielem jest parlament. Król mianuje ministrów według swego uznania, ale zwykle tylko tych, których sobie życzy parlament. W przeciwnym razie parlament nie zatwierdzi ani jednego projektu ministrów, którzy siłą przeczczą będą zmuszeni podać się do dymisji. Każdy rozkaz królewski podpisuje zarazem odpowiedni minister,

Anglii.



a ponieważ jest on odpowiedzialnym wobec parlamentu, więc, oczywiście, za żadną cenę nie położy swego podpisu na dokumencie, który nie odpowiada jego osobistym przekonaniom i poglądom.

Rzecz prosta, że parlament nie odrazu pozyskał tak szeroką władzę i nie odrazu królowie angielscy ustąpili mu ze swoich praw i przywilejów. Walka ciągnęła się długo i zapamiętała. Zrazu Anglja posiadała



Widok z rzeki Tamizy na Parlament londyński.

takież ustrój, jak inne średniowieczne państwa. Wspomnieliśmy już o Wielkiej Karcie, nadanej przez króla Jana Bez-Ziemi i zapewniającej niektóre swobody dla baronów i obywateli. Wielka Karta kładła na króla obowiązek zwoływać zjazdy i zebrania, w razie jeżeli król potrzebował pieniędzy od swoich wassalów, bez zgody których nie mógł nakładać żadnych podatków. Wielka Karta zabezpieczała i swobodę osobistą, tak że nikt nie mógł być aresztowany, pozbawiony swojej własności,

wtrącony do więzienia, ukarany lub wygnany z kraju inaczej, jak tylko na mocy wyroku sądowego, zgodnego z panującymi prawami kraju. Już wtedy baronowie wybierali spośród siebie dwudziestu pięciu mężów, którzy stale pilnowali, aby król nie naruszał przywilejów Wielkiej Karty. Nieraz królowie próbowali pozbyć się tej opieki, ale Anglicy w żaden sposób nie chcieli zrzec się posiadanych praw i przywilejów, — przeciwnie, starali się je rozszerzyć. Tak, na przykład, w roku 1258 za Henryka III, uzbrojona szlachta, duchowieństwo, hrabiowie i baroni podali do króla petycję, w której skarżyli się na samowolę i zły zarząd królewski. Wybrali komisję 24-ch, która zrehabilitowała swoje żądania, znane w historii pod nazwą Statutu Oksfordzkiego. Statut Oksfordzki znówu uszczuplił władzę królewską. Trzy razy do roku zwoływana była wspomniana rada królewska, która wraz z 12-ma „mężami honoru“, ówczesnymi przedstawicielami posiadłości ziemskich rozpatrywała sprawy królestwa. Prawda, że Henrykowi III udało się na jakiś czas uchylić od Statutu Oksfordzkiego i sprawować rządy samowładnie, ale wynikiem tego było zbrojne powstanie, na czele którego stanął Monfor, szwagier króla. Monfor zwołał parlament, w skład którego weszli przedstawiciele wszystkich hrabstw (okręgów), miast i portów Anglii. Ten właśnie parlament przekształcił się z czasem w t. z. Izbę gmin, czyli Izbę niższą, która stanowi prawdziwe przedstawicielstwo narodowe. Simon de Monfor rządził niedługo i poległ w walce ze stronnikami starego porządku rzeczy. Naród przechował we wdzięcznej pamięci imię Monfora, bohatera wolności, i dotychczas imię to ze czcią jest powtarzane w pieśniach narodowych. Walka

trwała dalej: władza parlamentu rosła, a królewska zmniejszała się. Prawda, że znowu Henryk VIII i Jakób I jakiś czas obchodzili się bez parlamentu, ale nigdy władza królewska nie była tam tak despotyczną, jak w innych krajach Europy,—choćby dlatego, że Anglja, jest wyspa, nie potrzebowała się tak obawiać napaści obcych narodów, — nie utrzymywała więc i nie utrzymuje stalego wojska, które stanowi wszędzie stałą oporę dla tronu.

Obecnie parlament składa się z Izby lordów, czyli wyższej, i z Izby gmin, czyli niższej. Izba lordów czyli magnatów składa się przeważnie z członków z nominacji, dlatego nie ma ona istotnego znaczenia dla państwa; sprawa zniesienia Izby wyższej była już nieraz poruszana. Liczba członków Izby wyższej dosięga 570 i wzdłuża w miarę tego, jak przybywa lordów. Najstarsi synowie rodzin lordowskich po dojściu do pełnoletności otrzymują tytuł para, z prawem zasiadania w Izbie wyższej, i prawo to jest dziedzicznym. Oprócz tego członkami Izby wyższej są: książęta krwi królewskiej, biskupi i arcybiskupi, szesnastu przedstawicieli obywatelstwa ziemskiego ze Szkocji i dwudziestu ośmiu z Irlandji. Parowie cieszą się w społeczeństwie wielkim szacunkiem, a królowie korzystają ze swego prawa nadawania tytułów, ażeby wynagradzać w ten sposób obywateli za ich usługi dla państwa. Bywają jednak wypadki, że obywatele zrzekają się przyznanego im tytułu. Tak np. Gledston zwany „wielkim starcem“ nie zechciał przejść z Izby niższej do Izby wyższej i odrzucił nadany mu przez króla tytuł hrabiowski.—Z małemi wyjątkami, posiedzenia Izby wyższej nie są zbyt skwapliwie uczęszczane, nie

bywa na nich zwykle więcej jak 10-ciu członków, którzy drzemią w swoich wspaniałych fotelach. Tylko lord kanclerz, prezes Izby wyższej, z obowiązku musi być obecny na każdym posiedzeniu i uroczyście zasiada w olbrzymiej upudrowanej peruce, na aksamitnej kanapie bez poręczy i oparcia, na której leży starodawny czarny worek wypchany wełną, zamiast poduszki.

Inaczej jest w Izbie niższej. Tam znać życie i wre praca. Czuje się, że to jest właśnie pole walki, na którym Anglicy odnieśli tyle zwycięstw nad samowolą i zacofaniem; czuje się, że tu jest uosobienie potężnej woli wielkiego narodu.

Izba niższa liczy 670 członków posłów od hrabstw, miast i uniwersytetów. Posłowie wybierają się zapomocą tajnego i bezpośredniego głosowania. Dawniej liczba wyborców była niewielką i wielu z nich było skrupowanych w oddaniu swego głosu przez ludzi zamożnych i wpływowych; mówiono żartobliwie, że podczas obiadu u lorda Kanterbury zostaje wybranych do parlamentu z górą 20-stu posłów... Z czasem naród zmienił ustawę wyborczą i obecnie prawo wyboru do Izby posiada każdy pełnoletni poddany angielski, który najmuje mieszkanie za pewną, określoną prawem, nieznaczną cenę, lub też jest właścicielem, czy dzierżawcą, jakiegokolwiek nieruchomości. Obcokrajowcy, parowie, urzędnicy państwowi i osoby utrzymywane na koszt dobroczynności publicznej, pozbawione są praw wyborczych. Pozatym każdy Anglik może być wyborcą, czyli deputatem, i może zostać członkiem Izby, czyli posłem. Liczba posłów robotniczych, zwiększa się przy każdych wyborach; jednakże większość posłów należy do ludzi względnie za-

możnych, gdyż nie przysługują im djety, czyli wynagrodzenia poselskie. Członek parlamentu, który musi utrzymywać się z pracy rąk swoich, otrzymuje wynagrodzenie od swoich wyborców. Największym zaszczytem dla Anglika jest być członkiem parlamentu, i dlatego wielu wybitnych i bogatych ludzi poświęca dużo czasu, energii i pieniędzy, aby móż obok swego nazwiska na bilecie wizytowym umieścić dwie litery M. P. co znaczy członek parlamentu.

Parlament obierany jest na lat siedem. W oznaczonym dniu i godzinie po wyborach osobny urzędnik, w rodzaju wielkiego marszałka sejmowego, zaprasza wszystkich posłów do Izby wyższej, gdzie na ich spotkanie wychodzi lord-kanclerz, który w imieniu króla zawiadamia ich, że z chwilą złożenia przez nich przysięgi, król powie im, „dla jakiej przyczyny zostali tu zwołani“. Poczem posłowie wracają do swej Izby i wybierają „spikera“, czyli prezesa. Głównym przymiotem prezesa musi być zupełna bezstronność, i dlatego zwykle nie należy on do żadnego stronnictwa politycznego. Następnego dnia, prezes zostaje zatwierdzonym przez króla „zachowania starodawnych i niezachwianych praw i przywilejów Izby, w szczególności zaś nietykalności poselskiej, swobody słowa i możności porozumiewania się z królem, ile razy tego zajdzie potrzeba“. Naturalnie; że odpowiedź bywa zawsze przychylną, poczym prezes uroczysto zawiadamia Izbę, że „Jego Królewska Mość przychylić się raczył do prezesa uniżonej prośby“ i zachował wszystkie dawne prawa i przywileje Izby. Bezzwłocznie zostaje odczytana mowa tronowa. Parlament jest otwarty i przystępuje do pracy. Każdy świeżo obrany czło-

nek parlamentu musi poznać dokładnie zwyczaje i przepisy obowiązujące w parlamencie, co nie jest tak łatwym, ponieważ nie są one spisane, a Anglicy przywiązują do nich wielką wagę. Ten ich konserwatyzm nie przeszkadza im być najbardziej postępowym narodem. Nie chcą naruszać dawno przeżytych form, ale nie wahają się zaprowadzać zasadniczych zmian w ustroju państwowym.

Otwarcie parlamentu towarzyszy ceremonjał, którego początek sięga o trzy wieki wstecz. W roku 1605-ym za Jakóba II utworzył się spisek, który miał na celu wysadzić parlament w powietrze; przyczyną tego było, że król nie dotrzymał obietnicy równouprawnienia katolików z niekatolikami. Spisek został odkryty, spiskowcy straceni,—ale dotąd podziemia Westminsteru przed każdym otwarciem sesji podlegają rewizji... O 10-ej rano milicja parlamentu i gwardji królewskiej, z halabardami, w średniowiecznych mundurach, opatruje podziemia z latarniami w ręku chociaż są one zupełnie widne. Ponieważ zaś w nakazie królewskim z XVII wieku niema mowy o tym, aby latarnie były zapalone,—co widocznie rozumiało się samo przez się, więc i teraz latarnie się nie zapalają...

Po powrocie woźny uroczysto oświadcza: „tam na dole niemasz żadnego spiskowca!“—i zaraz zbierają się posłowie, ministrowie, dziennikarze i publiczność na galerjach i w łozach, rozlega się okrzyk: „miejsce dla prezesa, odkryć głowy“. Zjawia się spiker, jako przedstawiciel woli potężnego ludu; poprzedza go i niesie przed nim laskę marszałkowską urzędnik w starożytnym dworskim stroju. Sam prezes w olbrzymiej peruce, w czarnych króciutkich spodniach, jedwabnych pończochach, panto-

flach, w olbrzymich koronkowych mankietach; z ramion spada mu długa jedwabna mantyla, którą podtrzymują paziowie; towarzyszy mu duchowny, który odmawia przed otwarciem posiedzenia krótką modlitwę. Posiedzenia parlamentu odbywają się wieczorem, często do późnej nocy, a czasem przeciągają się do następnego ranka.

Każdy bill, czyli projekt do prawa, dyskutuje się trzykrotnie; po przyjęciu go przez Izbę niższą zostaje on przekazany Izbie wyższej, która może go odrzucić lub zrobić swoje poprawki, poczym wraca do Izby niższej. W ten sposób zdarza się, że bill wędruje kilkakrotnie z jednej Izby do drugiej. Ostatecznie Izba wyższa zwykle ustępuje i przyjmuje bill, który po podpisaniu przez króla, zyskuje moc obowiązującą.

Sala Izby niższej nie jest ani wielką, ani wspaniałą; po obu stronach szerokiego przejścia ustawione są amfiteatralnie ławy poselskie. W końcu przejścia pod baldachimem zasiada spiker, a naprzeciw niego trzech sekretarzy.

Nielada rolę odgrywa w parlamencie kapelusz, który nieraz rozwesela posiedzenia. Posłowie obradują w kapeluszach na głowie; z chwilą jednak, jak poseł zabiera głos, obowiązany jest zdjąć kapelusz i położyć go za sobą na krześle. Nieraz poseł, nie ostygnąwszy z zapału krasomówczego siada na kapeluszu, wywołując śmiech i zacierając wrażenie swojej kwiecistej wymowy. Do takiego posła przylega przezwisko: „posła, co usiadł na kapeluszu“ i nie opuszcza go aż znajdzie się jego następcę. Posłowie zdejmują kapelusz nie tylko w czasie wygłaszania mów, ale także podczas wchodzenia i wychodzenia z sali, a kto o tym zapomni, usłyszy pod swoim

adresem wołanie: „kapelusz, kapelusz“! Biedny poseł mięsza się, rozgląda i nie od razu domyśla się, czego chcą od niego. Ktoś z kolegów zbliża się do niego, z wyszukaną elegancją zdejmuje mu kapelusz z głowy i podaje do ręki. Sala się śmieje, a prezes przywołuje do porządku.

Bywają jednak wypadki, kiedy właśnie posłowie obowiązani są przemawiać siedząc w kapeluszach na głowie, — mianowicie: wtedy, kiedy właściwe rozprawy są już ukończone, a zaczyna się głosowanie nad danym wnioskiem, lub też gdy ktoś z posłów odczytuje formułę przejścia do porządku dziennego. Wtedy rozlega się dzwonek elektryczny w całym parlamencie, w ciągu dwóch minut, podług klepsydry. — Nawet i starzy posłowie miewają czasem przygody z kapeluszem. Raz wielki Gledston zapomniał wziąć ze sobą do sali kapelusz i przemawiając, musiał się posiłkować kapeluszem swego sąsiada, który, jak na złość, miał bardzo małą głowę; Gledston musiał więc przytrzymywać kapelusz ręką na czubku głowy, a zebranie robiło rozpaczliwe wysiłki, aby nie parsknąć śmiechem.

Po wyczerpaniu porządku dziennego, jeden z obecnych ministrów poddaje wniosek zamknięcia posiedzenia, i dopóki to nie nastąpi, spiker nie ma prawa opuścić swojego miejsca. — Ten sam porządek zachowuje się i w Izbie wyższej tak, że kiedy minister zapomniał wyrzec to zdanie i wyszedł z sali ze wszystkimi parami Anglii, to lord kanclerz zmuszony był zostać na swoim miejscu, dopóki domyślnemu dozorca gmachu nie udało się znaleźć jednego z parów i przyprowadzić do sali, aby uwolnić biednego lorda kanclerza.

Podczas posiedzeń parlamentu nie jest przyjętym

zwracać się do posłów po nazwisku, a mówi się zawsze „szanowny poseł takiego to a takiego okręgu.“ Niezachowanie tego zwyczaju pociąga za sobą wymówkę ze strony prezesa, któremu jedynie przysługuje prawo zwracania się do posłów po nazwisku, — i to tylko wtedy, kiedy robi posłowi uwagę lub wymówkę. Tak samo i do prezesa zwracać się można tylko ze słowami „panie preze-



Z życia ulicznego w Londynie: — przed Bankiem.

sie“ bez względu na, to on jaką rangę i tytuł posiadał poza murami parlamentu. Przy końcu obrad rozlega się okrzyk: „kto wraca do domu?“ Nikt nań nie odpowiada, ale zwyczaj ten nie ustaje i bierze początek od czasów kiedy Westminster był dość oddalony od miasta, ulice nie były oświetlone i powrót posłów dla bezpieczeństwa odbywał się pod opieką straży. Teraz przed gmachem parlamentu oczekują na posłów wygodne pojazdy, a

na stacji kolei podziemnej specjalne pociągi, — nie może więc być mowy o niebezpieczeństwie dla posłów; jednakże raz zakorzeniony zwyczaj święcie się przechowuje i nikt nie myśli go zmieniać, wobec tego, że nikomu on nie szkodzi, a podtrzymuje w narodzie poszanowanie obyczajów przodków.

ROZDZIAŁ III.

Wybory do parlamentu. Szkoły krasomówstwa. „Małe parlamenty.“ Mityngi. Uczucia najędźniejszego obywatela państwa. Mówcy uliczni. Związki. Kluby robotnicze. Dżon Berns, przedstawiciel robotników w parlamencie.

Z chwilą zbliżania się nowych wyborów, w Anglii zapanowuje ogromne ożywienie. Wszyscy wyborcy dążą do oznaczanych zawczasu punktów wyborczych, aby postawić krzyżyk obok nazwiska jednego z kandydatów wydrukowanych na liście wyborczej. Wyborca oddaje swój głos tak ażeby nikt nie wiedział, za kim głosuje; składa kartę wyborczą i wpuszcza ją do skrzynki. Na ulicy koło punktów wyborczych zbiera się tłum wielce wzburzony i głośnemi okrzykami zaleca tego lub owego kandydata. Prawie niema wypadku, aby Anglik uchylił się od głosowania i tylko ciężka choroba może go powstrzymać od spełnienia tego obywatelskiego obowiązku. Widuje się bardzo często, jak wyborca robotnik spieszy oddać swój głos prosto od roboty, często z workiem na plecach, łopatą lub kielnią w ręku, — spieszy w skupieniu, nie zwracając uwagi na krzyki uliczne, — składa swój głos i wraca znowu do pracy.

Po obliczeniu głosów szczęśliwy zwycięzca zostaje przywitany głośnym wiwatem i zwraca się z mową do ludu. Często mały, nieznany, skromny człowieczek staje się od tej chwili mężem, na którego zwrócone są oczy całego narodu. Zaś jego zwyciężony przeciwnik, który rankiem był jeszcze wybitnym działaczem państwowym, może ministrem, — zapomniany schodzi z widowni publicznej. Oto jest potęga małych krzyżyków robotnika wyborcy, dzięki którym może być zupełnie zmieniony skład parlamentu. Nowy parlament może nie będzie podzielał poglądów dawnych ministrów, którzy wtędy będą zmuszeni podać się do dymisji.

Każdy Anglik już od młodości przejęty jest myślą o swoich przyszłych prawach i obowiązkach obywatelskich. Każda szkoła angielska pracuje dużo w kierunku przysposobienia swoich wychowañców do życia publicznego. Uniwersytety w Oksford i Kembrydż zakładają związki polityczne, niezależne od władzy szkolnej, gdzie członkowie, wzorując się na prawdziwym parlamencie, starają się rozstrzygać wiele zagadnień politycznych i społecznych. Te właśnie związki są kolebką dla najwybitniejszych działaczy społecznych i mężów stanu. W ostatnim dziesięcioleciu powstały liczne szkoły krasomówstwa i stowarzyszenia polityczne w każdym większym mieście. Stowarzyszenia te zowią się miejscowymi parlamentami i stanowią zupełne odbicie londyńskiego parlamentu. Wnoszenie spraw, porządek obrad, sposób balotowania, przejście do porządku dziennego, nawet urządzenie sali obrad, — wszystko wzoruje się na parlamencie w Londynie. Członkowie dzielą się na partje polityczne; przedstawiciele najliczniejszej partji tworzą niby

to ministerjum, które wnosi projekty do praw, podlegające trzykrotnemu czytaniu. Jeżeli projekty nie zostają uchwalone, ministerjum podaje się do dymisji... W ten sposób Anglicy wdrażają się od młodości w życie parlamentarne, uczą się porządku i koniecznej karności w obradach, uczą się prowadzić otwartą i pełną godności walkę polityczną, zachowywać bezstronność sądu i szanować zdanie przeciwnika.

Oto jak opisuje jeden z cudzoziemców te „małe parlamenty.“ „Zdarzyło mi się być w małym parlamencie, który istnieje już lat piętnaście. Lokal jego mieści się w jednym z gmachów parafjalnych w podmiejskich okolicach Londynu. Raz na tydzień zbierają się członkowie wieczorem, przeważnie we frakach. Publiczność ma wstęp tylko za rekomendacją członków parlamentu i przedzielona jest od obradujących barjerą. Obowiązana jest zdejmować kapelusze, podczas gdy członkowie parlamentu siedzą w cylindrach. Posiedzenie zaczyna się od wprowadzania nowych członków, których przedstawiają przewodniczącemu dawni członkowie; prezes podaje rękę nowowstępującemu, sekretarz zapisuje jego nazwisko i na tym kończy się ceremonia. Nowy członek zajmuje miejsce wśród partji, do której chce należeć. Jeden z posłów interpeluje mniemanego ministra spraw zewnętrznych, jaki cel miała wizyta następcy tronu w Petersburgu i czy nie miała ona związku z polityką Anglii i Rosji w Azji środkowej... Minister daje wyjaśnienie, że wizyta nie miała politycznego charakteru. Zarówno interpelujący, jak i interpelowany, rozmawiają w tonie bardzo poważnym, odpowiadającym ważności przedmiotu i ich wiekowi. Okazuje się jednak, że zapytanie było posta-

wione, aby dać możność członkom wywzięcia się w dyplomatycznym omawianiu drażliwych spraw politycznych. Rozprawy idą dalszym ciągiem, ale przy końcu jeden z członków, niezadowolony otrzymaną odpowiedzią, podaje wniosek przedłużenia rozpraw do następnego posiedzenia.. Prezes tłumaczy że dla podania wniosku, sprzeciwiającego się zamknięciu dyskusji, należy podać o tym piśmienną deklarację sekretarzowi Izby; prezes przekona się, czy nie uchybia ona formalnościom parlamentu—i wtedy dopiero członek może, stojąc, odczytać swój wniosek. Dla okazania swojej jednomyślności powinna również powstać pewna liczba obradujących.

W Londynie dla postawienia samodzielnego wniosku trzeba 40 posłów, w tym „małym parlamencie,“ jak objaśnia jego prezes, wystarczy 15 do 20 posłów.

Tak to małe parlamenty przygotowują przyszłych posłów rzeczywistego sejmu państwowego. Powaga ich obrad nie ustępuje w niczym powadze rozpraw parlamentu; mówcy opracowują swoje przemówienia, przytaczają dane liczbowe, uzasadniają swoje wnioski przykładami z historii i nie trwonią czasu na próżne gadaniny.

Posiedzenia kończą się zwykle koło jedenastej, posłowie rozstają się w najlepszej zgodzie, bez względu na swoją barwę polityczną, ściskają sobie ręce, zadowoleni, w ogóle jak ludzie, którzy się dosyć nagadali w przyjemnym towarzystwie. Odrzucone lub przyjęte przez parlament wnioski zostają wydrukowane i przechowane w miejscowym archiwum... W ten sposób obywatele angielscy uczą się życia parlamentarnego—i nawet zdala od Londynu i władzy, rozstrząsają sprawy nurtujące wśród

społeczeństwa trzymając rękę na pulsie życia politycznego.

W życiu publicznym Anglii olbrzymie znaczenie posiadają tak zwane mityngi, czyli zebrania publiczne, zwolywane pod otwartym niebem, lub też w halach, gdzie zbiera się po kilka tysięcy ludzi. Podczas mityngów zaznacza się wyraźnie życzenie większości ludności co do projektowanej reformy, ujawnia się stanowisko ludu względem danego zdarzenia politycznego, często redagują się petycje do króla, zapadają uchwały, wyrażające zaufanie lub nieufność ludu względem rządu. Każdy działacz społeczny, któremu zależy na popularności, na rozpowszechnieniu swych myśli wśród szerokich mas społeczeństwa, przemawia, i to niejednokrotnie, na mityngach. Podczas wojny z Burami przeciwnicy jej wygłaszali na mityngach gorące mowy i zyskiwali uznanie słuchaczy. Trzeba oddać Anglikom sprawiedliwość, że umieją słuchać mówcy; jeżeli nawet są przeciwnego zdania, zachowują się przyzwoicie i nie okazują swego niezadowolenia w ordynarny sposób. Zebrania ludowe, czyli mityngi, datują się w historii Anglii oddawna, ale z czasem zyskują coraz więcej powagi, tak że nieraz musi się z nimi liczyć i parlament, i ministerjum.

Ulubieniec Jerzego III, lord Biut, w połowie XVIII stulecia zaprowadził podatek od spirytusu; wywołało to ogromne wzburzenie wśród ludności, głównie dlatego, że urzędnicy akcyzy pozyskali prawo rewidowania o każdej porze dnia i nocy nawet prywatnych mieszkań w poszukiwaniu spirytusu z nieopłaconą akcyzą. Podczas olbrzymich mityngów, w których brało udział po kilkudziesiąt tysięcy osób, wyrażony był protest przeciwko

podatkowi i podana petycja do parlamentu. Wrzenie wśród ludności nie ustawało, dopóki parlament nie zniósł tego podatku. W następnym roku na mityngach zredagowany został adres do króla, gdzie była mowa o całym szeregu nadużyć i niesprawiedliwości urzędników, o ciężkich krzywdach obywateli, — wreszcie adres kończył się prośbą, aby król usunął od siebie nieuczciwych doradców.

Oto opis mityngu z roku 1846 podług najpoczytniejszej angielskiej gazety „Times“, na którym lud domagał się zniesienia podatku wwozowego od zboża. Prezesem mityngu był robotnik, mówcami z wyjątkiem dwóch również robotnicy. Mityng postawił sobie za zadanie zwrócić uwagę społeczeństwa na rozpaczliwe położenie drobnych rolników i prosić królową i parlament, aby przedsięwzięli energiczne kroki w tym kierunku. Dla braku odpowiedniego lokalu, mityng odbywał się na skrzyżowaniu dwóch gościńców, pod otwartym niebem, przy chłodnym zimowym powietrzu. Parę desek położonych na czterech słupach wbitych w ziemię, stanowiło katedrę, z której przemawiał mówca, a przy której siedział prezes; tuż obok prosty stół sosnowy i kilka stołków pożyczonych z sąsiedniej chaty stanowiły łożę dla dziennikarzy, dwie świece paliły się w latarniach, drugie dwie rękami zasłaniano od wiatru, aby nie zgasły. Zapadał mrok i tylko w najbliższym sąsiedztwie świec można było rozpoznać oblicza obradujących włościan, których było z górą tysiąc; niektórzy przyszli z żonami i dziećmi. Kiedy księżyc wyjrzał zza chmury, na twarzach obecnych można było wyczytać tę troskę, biedę i głód, o których przemawiali mówcy do swoich słuchaczy w prostych, twardych, ale nacechowanych prawdą wyrazach.

Otwierając mityng, prezes przemówił: „Proszę wszystkich skupić uwagę i zrozumieć, jak ważna sprawa nas tu zwołała; wiemy z gorzkiego doświadczenia, jak ciężkim jest nasze położenie; trzeba żeby zrozumiała to królowa i ministerjum i zezwoliła na przywóz zboża do naszych portów, bez osobnego podatku. Staniemy tym samym w obronie wolnego handlu; sam Stwórca w nieskończonej mądrości urządził ziemię tak, że daje ona w obfitości to, co dla ludzi, jest konieczne. To czego brak w jednym kraju, posiada drugi w nadmiarze; sama więc przyroda, wskazuje konieczność wolnego handlu. Klasy pracujące cierpią nędzę dlatego, że chleb jest zbyt drogi, ponieważ zboże obłożone jest podatkiem wwozowym. Musimy to stanowczo zaznaczyć i żądać zniesienia podatku“. Następny mówca odezwał się w te słowa: „Pragnąłbym, aby księżyc świecił jaśniej, abym się lepiej mógł przypatrzeć waszym wymizerowanym twarzom, ale i tak widzę na was takie same nędzne bluzy robotnicze i stare kapelusze, co na sobie. Przed chwilą wspomniał nasz pastor, że dusza ludzka skłonniejszą jest do niezadowolenia, niżeli do uciechy; najzupełniej temu wierzę, bo cóż innego, jak niezadowolenie i rozpacz zwołało nas tutaj? Nie czuję się na siłach rozprawiać ani o polityce, ani o podatkach wwozowych na zboże; wiem tylko, że do zbioru kartofli jeszcze daleko, i jeżeli ceny na produkty spożywcze nie wrócą do dawnej normy, to nam grozi głód. Niechże nasz silny głos będzie usłyszany przez kogo trzeba, że przy obecnych zarobkach nie stać nas na chleb, ani na kawalek sera, ani na szklanekę piwa; wkrótce tak upadniemy na siłach, że nie będziemy zdolni do pracy“.

Przemawiało jeszcze paru mówców za zniesieniem podatku na zboże; było i parę osób przeciwnych, których spokojnie wysłuchano. Zebrani rozeszli się do domów w skupieniu. Wynik mityngów jednakże był taki, że ministerjum wniosło do parlamentu bill o zniesieniu podatku zbożowego; bill większością głosów został w parlamencie przyjęty.

W roku 1838-m odbył się w Manchester mityng, na którym było obecnych do 300 tysięcy osób.—Co myśli i czuje Anglik, udając się na mityng, widać z przytoczonego ustępu jednego z angielskich autorów: „Na dworze pada gęsty śnieg, mieszkaniec najbiedniejszej dzielnicy Londynu—Wejtczepel, zgarnia na ulicy błoto i nakładą je na wóz; nie wesolo mu, szczególnie patrząc na eleganckich dżentelmenów, przyjeżdżających w wykwinionych pojazdach. „Licho nadało,—mówi do siebie,—być najostatniejszym z ostatnich w całej Anglii, zgarniać błoto na ulicy w taką slotę,—i to za pół szylinga na dzień“! Ale robota starannie jest wykończoną; zamiatacz z miotłą i łopatą wchodzi do pobliskiej jadalni i rozgrzawszy się trochę, ciągnie powoli ku domowi, gdzie go czeka chłodna izba i głodna rodzina.

Po drodze spotyka się z tłumem, idącym na mityng. „Ach, prawda! przecież i on ma na niego zaproszenie,“ bo i on jest wyborcą... Na mityngu ma przemawiać sir William Harkurt. Nasz ostatni z ostatnich ożywia się nagle, jakby mu lat ubyło, i śmiałym krokiem zdąża do sali narad. Tutaj spotyka około sześciu tysięcy takich samych, jak on biedaków, zawalanych węglem i sadzą. W sali prawie ciemno od dymu tytoniowego, ale nasz obywatel rozróżnia dobrze twarze kolegów, chorągwie i oznaki

którymi przystrojone są ściany. Zjawia się sir Harkurt w towarzystwie prezesa mityngu, posła do parlamentu z Wejtczepel, którego olbrzymi portret wisi na ścianie. Przewodniczący zdaje sprawę z dotychczasowej swej działalności w parlamencie i prosi swoich wyborców o zaufanie na przyszłość.

Ostatni z ostatnich wyraża swoje zadowolenie oklaskami, zapomina o swoich troskach i czuje, jak ważną jest w tej chwili osobą; czuje, że o jego względy teraz się starają i, wychodząc z mityngu, nie zazdrości już bogaczowi, mijającemu go w karecie,—idzie rażno, pełen energii i otuchy.

Oto jest duchowy wpływ mityngów, czyli wieców.

Anglicy lubią bardzo zbierać się i przemawiać pod otwartym niebem. W Londynie, gdzie tylko to nie przeszkadza ruchowi ulicznemu, wolno jest gromadzić się. Pomędzy mówcami ulicznymi spotykamy najróżnorodniejsze typy: oto agenci handlowi zbierają kupkę słuchaczy i zachwalają swój towar; nieopodal misjonarze i kaznodzieje mówią o strasznych karach piekielnych, czekających grzeszników; w innym miejscu członkowie wstrzeźliwości barwnie przedstawiają okropne skutki pijaństwa; dalej namiętny polityk werbuje stronników dla swojej partji i t. p. Nieraz w Hajd—Parku spotyka się mówcę, który, stojąc na ławeczce, przyniesionej ze sobą, coś żywo rozprawia i wymachuje rękami. Słuchacze po chwili odchodzą do drugiego mówcy, o jakie paręset kroków dalej przemawiającego zupełnie o czym innym,—ale nasz pierwszy mówca nie traci fantazji i prowadzi swoją rzecz dalej, dopóki jakimś dowcipnym słówkiem nie uda mu się przeciągnąć do siebie słuchaczy. Jeżeli mu się to

powiedzie, pełen zadowolenia kończy swą mowę, kłania się publiczności, zabiera pod pachę swoją ławeczkę i wędruje dalej...

Między mówcami Hajd—Parku, szczególnie w niedzielę, spotykamy bardzo wielu ludzi świeckich, z biblią pod pachą i olbrzymim parasolem w ręku, którzy nadzwyczaj żywo rozprawiają o sprawach religijnych. Słuchacze należą do najrozmaitszych warstw społecznych: nie brak tu i robotników wystrojonych odświętnie, i żołnierzy z laseczką w ręku, (gdyż broni na ulicy nosić im nie wolno), i wiecznie wesolych marynarzy i poważnych pastorów, i wytwornych dżentelmenów i eleganckich dam. Każdy prawie Anglik uważa za swój konieczny obowiązek podzielić się z drugimi nową myślą, którą uznaje za pożyteczną. Jeżeli i drudzy tę myśl pochwalą, powstaje bezzwłocznie stowarzyszenie, rozpowszechniające nowy pomysł zapomocą druku i zebrań. Liczba zwolenników wzrasta i myśl zostaje w czyn wprowadzoną. W ten sposób powstało w Anglii mnóstwo poważnych instytucji, szkół, ochronek, klubów, uniwersytetów ludowych, nawet szpitali, z prywatnego zapoczątkowania i składek. W ten sposób również powstała szkoła dla uliczników, założona przy Towarzystwie dla dzieci bezdomnych. Szkoła ta uratowała wielu od nędzy i upodlenia; stąd po paru latach nauki wychowawcy znajdują pracę w kraju, lub też otrzymują środki na podróż do jednej z kolonii angielskich, przeważnie do Australji, gdzie mogą dojść nawet do znacznego dobrobytu. Nieraz w ustach kilkunastoletniego wyrostka daje się słyszeć zdanie: „rodzicom moim ciężko, bo nas jest kilkoro, — trzeba samemu sobie radzić: jazda do kolonji“! I jedzie w świat szeroki, ale—wszędzie

i zawsze nosi z sobą w duszy obraz drogiej Anglji i tylko marzy o tym, jak, uciulawszy trochę grosza, wrócić do ojczyzny.

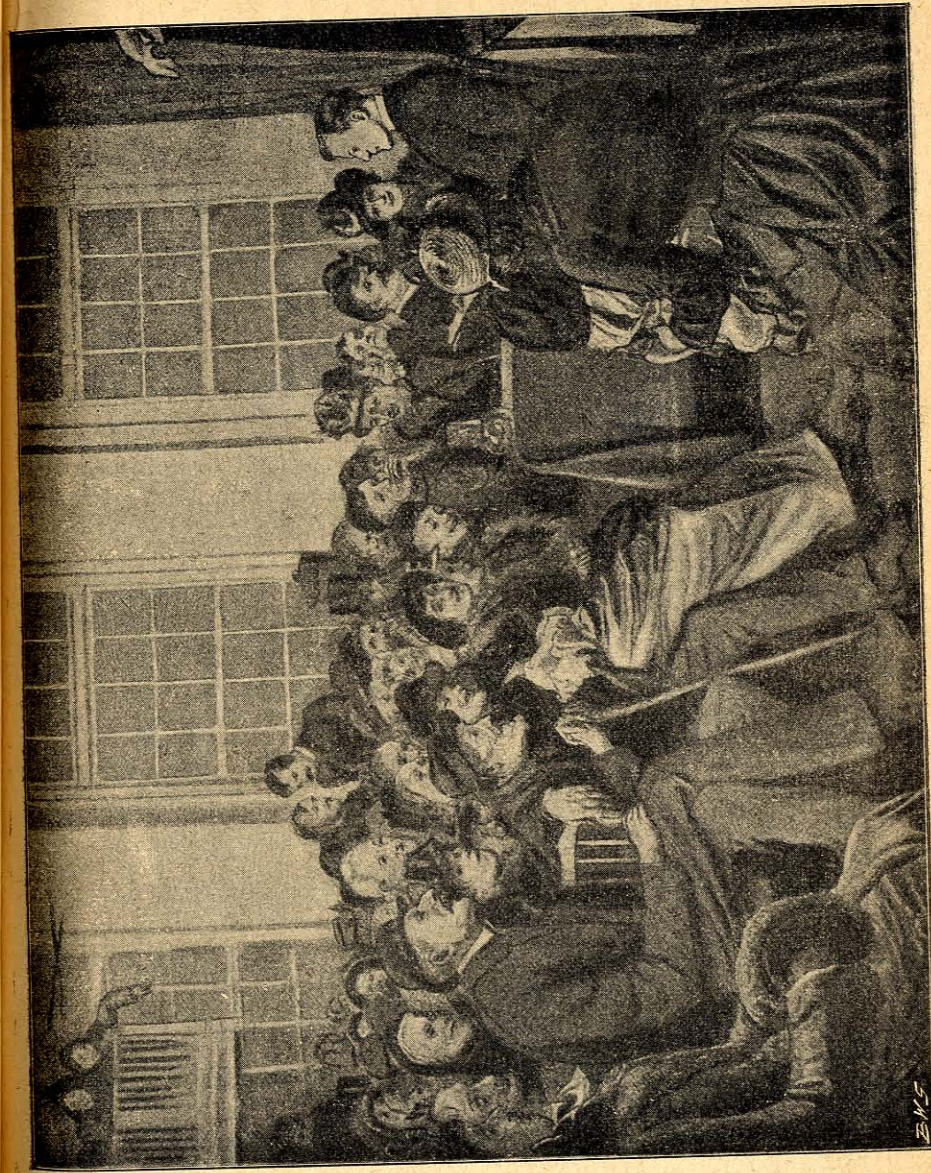
Według praw angielskich majątek i tytuł dziedziczny po ojcu tylko najstarszy syn, młodsi więc synowie nawet bogatych rodziców muszą iść o swoich siłach. Najstarszy syn, odziedziczywszy tytuł para Anglji, zasiada w Izbie lordów i zarządza rozległym majątkiem, którego jest dożywotnikiem. Młodszy pracuje czy to w handlu, czy w przemyśle, czy jako adwokat, publicysta lub inżynier, i marzy o tym, aby zostać członkiem parlamentu; nieraz się zdarza, że z ławy poselskiej Izby niższej młodszy brat potępia ten sam bill, który zachwala starszy brat w Izbie lordów. Lenistwo, gnuśność, są zupełnie obce Anglikowi; całe jego wychowanie skierowane jest ku temu, aby wyrobić w nim samodzielność, przedsiębiorczość i energję.

Wybitną właściwością charakteru Anglików jest ich dążność do tworzenia związków i stowarzyszeń o najrozmaitszych celach i zadaniach, zakładanych czy to dla obrony interesów zawodowych, czy dla rozwoju umysłowego lub ekonomicznego, czy w celu zabawy i przyjemnego spędzenia czasu. Członkami zwykle mogą być mężczyźni narówni z kobietami. Najpotężniejsze są tak zwane związki zawodowe czyli profesjonalne, w które łączą się przedstawiciele rozmaitych gałęzi pracy. A więc są związki: górników, ślusarzy, kamaszników, pończoszników, tkaczy, zamiataczy ulic, stróżów i t. p. Liczba tych związków dochodzi półtora tysiąca, a liczba członków przekracza półtora miliona. Związki takie mogą stawać skutecznie w obronie swoich interesów zawodowych, a

w razie zatargu pomiędzy fabrykantem a robotnikami służą jako pośrednicy i w większości wypadków zażegnują nieporozumienia. Związki te wspierają również swoich członków w przykrych okolicznościach, kiedy na pomoc skądinąd liczyć nie można. Mają też one swoje biblioteki i walczą z pijaństwem.

Niezależnie od związków zawodowych, angielscy robotnicy mają swoje kluby, gdzie zbierają się na gawędkę i rozrywkę. Członkiem takiego klubu może zostać każdy, choćby najbiedniejszy, byle tylko stosował się do regulaminu klubowego i zachowywał się przyzwoicie, jak na człowieka dobrze wychowanego przystało. W większości klubów robotniczych zwykle dwa razy tygodniowo bywają odczyty, na temat dowolnie obrany przez prelegenta.

Oto mniej więcej w jaki sposób takie kluby powstają: Kilkanaście znajomych osób wynajmuje lokal i zawiązuje klub, którego liczba członków szybko wzrasta. Kobiety członkinie, po skończeniu swoich zajęć domowych, poszorowały w klubie podłogi i pomyły okna, mężczyźni ponaprawiali drzwi, zamki, dopasowali okna, lufciki i okienice; poprzyklejali tu i owdzie obicia, pobielili sufity. W ten sposób, dzięki zabiegliwości członków, tanio najęty w starym domku lokal klubowy zrobił się schludnym i miłym dla oka. Trzeba było teraz pomyśleć o umeblowaniu,—a ponieważ wpisowe, pół rubla miesięcznie od członka, nie wystarczało, więc dał, co kto mógł. Ten starą bluzę, ten spodnie, ten dobrze już wysłużony kapelusz—i urządzono licytację dla powiększenia funduszków klubowych. Jedno kupił roznosiciel gazet, drugie tragarz uliczny, i uzbierało się parę rubli; ktoś ofiarował mocno uszkodzony stół, inny parę krzeseł; wreszcie kupiono



Odczyt w klubie robotniczym w Londynie.

parę ławek z umocowanemi przy nich koniecznemi półeczkami, na których kładzie się książki i notesy, lub też stawia się kufle z piwem,—i umeblowanie klubu gotowe. Na ścianie wisi zwykle obraz, przedstawiający zwycięstwo pracy i najczęściej wizerunek Gledstona, zacnego męża stanu, który tak znakomicie przyczynił się do rozwoju Anglii. Zaopatrzenie bufetu w naczynia nie wymaga wielkiego nakładu, gdyż najczęściej każdy przynosi kufel do piwa lub szklanekę do herbaty. Na stole leży kilka dzienników i litografowany tygodnik klubowy, który, obok sprawozdań klubowych, zawiera opracowania z danej dziedziny pracy, jeżeli klub jest zawodowy,—lub też artykuły ogólnokształcące, jeśli klub jest niezawodowy.

Jeden z podróżników opowiada, że, zwiedzając klub robotniczy w Anglii, nie mógł dokładnie określić, do jakiej warstwy społecznej należą jego członkowie. Zarówno ubiór, jak i ich zachowanie się, a także język zupełnie poprawny—były bez zarzutu. Znajoma jego, żona stolarza, wskazywała mu niektórych członków klubu: „Ten młody przystojny człowiek, to pan Newil, mechanik, redaktor naszego tygodnika klubowego. Ten oto dalej, tęgi wygolony mężczyzna, najlepszy gracz w piłkę, to Snemrow, pracujący w kanałach miejskich. Tam koło pieca siedzi nasz sekretarz, subjekt ze sklepu jubilerskiego. A widzi pan tę panią w popielatej spódniczce i różowym staniczku? to panna Klerk,—przeogląda teraz gazety; jest to nasza fortepianistka klubowa; na kursach wieczornych nauczyła się grać na fortepianie i mówić po francusku“.

Rozległ się dzwonek, przeszliśmy do drugiego obszer

niejszego pokoju, gdzie nie brakowało doraźnie urządzonej katedry i napisu na ścianie: „Witajcie“! Zgodnie ze zwyczajem odśpiewaliśmy hymn angielski: „Powstań, Anglijo!“ i na mównicę wszedł prelegent, którego poprzednio przedstawił obecnym prezes klubu, chociaż go wszyscy dobrze znali. „To Mak Morlan, giser, mieszka obok nas. Nieraz siedzi do trzeciej w nocy nad książkami i pracuje. Związek zaproponował mu rzucić giserstwo, ofiarowując posadę sekretarza z przyzwoitą pensją, ale Mak Morlan odrzucił propozycję, utrzymując, że nauka mu lepiej idzie do głowy po pracy fizycznej. Wybraliśmy go do rady szkolnej, a przy najbliższych wyborach postawimy jego kandydaturę do parlamentu.“

Po skończonym odczycie wsunięto do pokoju pianino i młodzi zaczęli tańczyć. Przy skromnym bufecie można dostać tanio przekąskę lub szklanekę herbaty, czy limonady.—Pożegnaliśmy się i rozeszli z uczuciem, z jakim się wychodzi po wieczorku od dobrych znajomych. Mister Syfis, tokarz, jednocześnie kasjer klubu, zamiótł pokój, pozakręcał gaz i zamknął lokal. Zapomniałem dodać, że słuchacze dziękują zwykle prelegentowi za odczyt, prelegent dziękuje słuchaczom za łaskawą uwagę, a prezes zaprasza uprzejmie i oznacza dzień najbliższego zebrania.“

Parę razy do roku klub urządza zbiorowe wycieczki zamiejskie, które wypadają dla członków bardzo tanio.

Zebrania klubowe odbywają się i w lecie, ale zimą są częstsze i liczniejsze. Podczas wyborów do parlamentu życie i ruch w klubach robotniczych oczywiście nadzwyczaj się ożywia—i nieraz trudno się dostać na zebranie dla braku miejsca.—Oto właśnie nadeszły wybory.

Przed mieszkaniem klubu robotniczego stoi na ulicy tłum ludzi i oczekuje na ulubieńca ludu, Dżona Bernsa, który przy wyborach tykoko znowu zwyciężył swego przeciwnika i został posłem do parlamentu, jako przedstawiciel robotników.

Dżon Berns przedstawia ciekawy przykład, do jakiego znaczenia i stanowiska dojść może człowiek z tak zwanego „prostego stanu“, pojmujący korzyści nauki, a przytym szlachetny i energiczny.

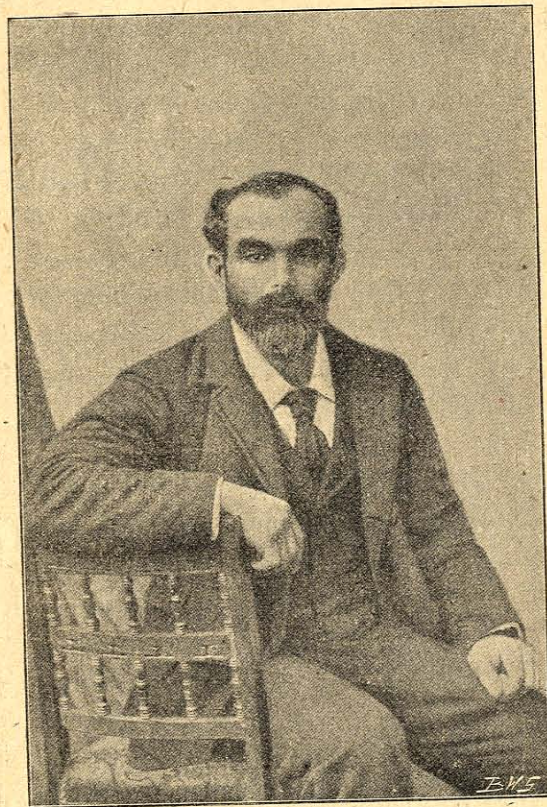
Ledwie się zjawił, wszyscy odkrywają głowy i witają go z uniesieniem. „Niech żyje nasz Dżon! hura, zacyjny Berns!“ Porywają go na ramiona, śpiewając pieśń tryumfalną: „To nasz zacyjny, sławny mąż!“

Berns pochodzi z ludu i, nauczony gorzkim doświadczeniem, zna dokładnie wszystkie braki i niedole życia robotniczego.

Jako dziesięcioletni chłopiec, Berns zaczął pracować w fabryce świec stearynowych i swoim drobnym zarobkiem pomagał matce. W niedziele i święta, k'edy fabryka była nieczynna, Dżon chodził do piwiarni i zarabiał, podając gościom kufle; o odpoczynku nie było co marzyć, bo bieda stała ciągle na progu domu. Dżon nie tyle się martwił brakiem odpoczynku, ile brakiem swobodnej chwili, aby mózdz się pouczyć i popracować nad sobą. Każde zaoszczędzone parę groszy obracał na kupno książek, a nie mogąc na czytanie ich poświęcać czasu przeznaczonego na pracę, urywał z godzin snu i odpoczynku. Bieda stale towarzyszyła Bernsowi, ale nie przeszkodziła mu wysoko się wykształcić i zachować szlachetność i delikatność uczuć.

Po opuszczeniu fabryki świec, Berns zaczął praco-

wać jako ślusarz, pod kierunkiem inżyniera mechanika. Doszedłszy lat dwudziestu, posiadał swój fach do tyła, że zaproponowano mu miejsce mechanika w zachodniej Afryce, przy statkach kursujących po rzece Nigrze. Berns



Dżon Berns.

nie dał się zastraszyć ani niebezpieczeństwem podróży, ani tamtejszym niezdrowym klimatem, i spędził blisko rok w Afryce, wśród podzwrotnikowych puszczy, pełnych

drapieżnych zwierząt i obrzydliwych gadów. Rzeka obfitowała w krokodyle i kąpiel w niej nie była bezpieczną — a i mieszkańcy tych okolic niewiele ustępowali w dzikości zwierzętom. Pewnego razu Berns jechał po Nigrze małą parową szalupą, razem z inżynierem Parkenem — i oto na środku rzeki kierownik śrubowy odkręca się i wpada do wody. Położenie było nie do pozazdroszczenia, bo na brzegu czyhają dzicy murzyni, — płynąc na los szczęścia bez steru bardzo ryzykownie, — a szukać śruby na dnie rzeki w mule w towarzystwie krokodyli też nie zachęcające... Parken zdecydował się na to ostatnie, ale Berns sprzeciwił się stanowczo: „Nie, — powiada, — jeżeli który z nas ma służyć za przekąskę krokodylom, to w każdym razie nie pan, panie Parken, bo jesteś żonaty, a ja sam jeden na świecie“... Nie czekając na odpowiedź, Berns dał nurka i wkrótce ukazał się na powierzchni ze śrubą w rękę.

Wogóle Berns był zawsze gotów do poświęcenia i niejednokrotnie dowiódł, że stawiał wyżej dobro swych współobywateli, niż osobiste korzyści. Życie jego zostało całkowicie pochłonięte pracą nad polepszeniem bytu robotników.

Ażeby tę sprawę poznać gruntownie, zwiedził Francję, Niemcy i Austrię i po powrocie podzielił się swymi spostrzeżeniami podczas mityngu (zgromadzenia), gdzie za mównicę służyła mu pusta skrzynka od cytryn. Ale na tymże mityngu zebrano zaraz pewną sumkę, za którą kupiono ruchomą trybunę dla ulubionego mówcy. — Liczba jego zwolenników rosła z każdym dniem. Dla skuteczniejszej pracy Berns zapragnął być wybranym do parlamentu, i oto jego rodzinny okrąg wyborczy obiera go na posła.

Odtąd przy każdym następnym wyborach wychodzi zwycięzko; nic nie jest w stanie zachwiać zaufania do niego między wyborcami. „To nasz Dżoni! — wołają wyborcy, — on sam pracował za parę złotych dziennie!“

I cóż dziwnego, że takim zaufaniem cieszy się człowiek, który mówi: — „Pragnę, aby w Londynie mieszkały rodziny składające się z krzepkich mężczyzn i zdrowych niewiast, cieszących się wesołemi dziećmi, — nie znające, co to głód, i spokojne o jutro“...

Dosyć spojrzeć na Bernsa, aby nabrać przekonania, że nie zbraknie mu ani siły, ani wytrwałości w dążeniu do tego szlachetnego celu.

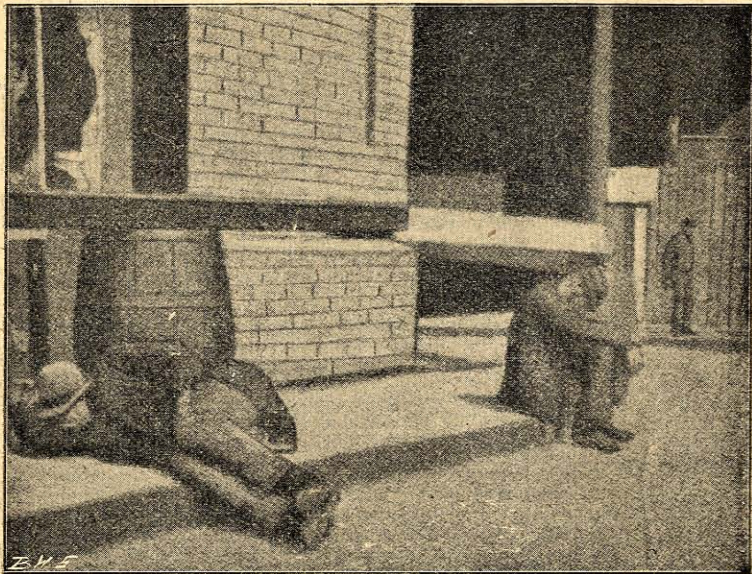
Głos jego czysty i metaliczny, oczy o niezwykłym blasku, a postawa śmiała i nakazująca szacunek. U siebie w domu Berns to spokojny, miły, dostępny dla każdego, z posrebrzonym siwizną włosem człowiek; nieraz całe godziny zabawia się ze swym synkiem — i trudno się domyśleć, że to ten sam złotousty mówca, który, gdy trzeba, rzuca gromy z trybuny parlamentarnej.

ROZDZIAŁ IV.

Zbytek i nędza wielkowiejska. Armja zbawienia. Kolonje uniwersyteckie. Szkoła początkowa. Instytucje politechniczne. Uniwersytety ludowe. Biblioteki. Związek narodowy wspólnego czytania, jego historia. Pałac ludowy.

Londyn jest miastem największych przeciwieństw. Jego zachodnia dzielnica West-End, — to najzbytłowniejsze sklepy, wspaniałe gmachy, cudne parki, szerokie, widne

w nocy, jak w dzień, ulice, po których mkną wytworne pojazdy. Wschodnia dzielnica—Ist-End—to labirynt ciasnych i brudnych uliczek, z domami prawie rozwalonemi, z których poopadał tynk, okna powybijane i pozatykane brudnymi szmatami, ciemne cuchnące podwórka, gdzie nie dochodzą promienie słońca... Tu się chroni londyńska



Nocleg bezdomnych nędzarzy.

biedota. Setki ludzi nie wie, gdzie schronić na noc głowę, jak oto ten samotnik, śpiący pod murem, lub bezdomna kobieta z małym dzieckiem u piersi...

I, dziwnym zbiegiem okoliczności, najbogatsze dzielnice graniczą bezpośrednio i stykają się z najbiedniejszymi. W Ist-Endzie stale panuje mniejszy lub większy głód i mnóstwo chorób,—nieraz w gazetach spotyka się tam

wzmianki o śmierci głodowej, szczególnie zimą lub podczas bezrobocia. W Ist-Endzie mieszka przeszło milion ludzi, z których ze sto tysięcy niema stałego zajęcia i nie wie, gdzie się podziać.—Dzielnica, zwana Wejtczempel, do niedawna była stkiem brudu i nędzy, a mieszkania przypominały raczej budy dla psów, niżeli schronienia dla ludzi. Ale i ona przybrała teraz lepszy pozór, dzięki zabiegom dobrych ludzi. Powstały tutaj domy zarobkowe, towarzystwa tanich mieszkań, szkoły, biblioteki, czytelnie dostępne dla najbiedniejszych, uniwersytety ludowe. I oto, gdzie dawniej kwitła tylko rozpusta i pijaństwo, przenikł promień oświaty, dzięki której znalazła się i praca, i chęć do pracy...

Ogromne zasługi w tym względzie położyła tak zwana Armja Zbawienia, sekta religijna, którą raczej należałoby nazwać olbrzymim towarzystwem dobroczynności. Działalność jej rozciąga się na całe państwo angielskie wraz z kolonjami. Naczelnik tej organizacji generał Buts, syn ubogich rodziców, był czeladnikiem krawieckim i sam borykał się z nędzą. W piętnastym roku życia postanowił poświęcić się dla bliźnich, wykorzeniać największe wady nędzarzy, zachęcać do żalu za grzechy i doskonalenia się duchowego.

Buts objeżdżał wsie i miasta i żarliwie przemawiał przeciwko występkom i grzechom, wskazując ratunek w wierze i dobrych uczynkach. Pomagała mu w tym dzielnice jego żona. Wkrótce jednak oboje przyszli do przekonania, że występek jest prawie zawsze towarzyszem nędzy, brudu i głodu—i że w takich warunkach człowiek pozostaje zwykle głuchym na wszelkie przestrogi. Buts zmienił więc swój sposób postępowania. Wtajemniczał się w

materjalne położenie swoich słuchaczy, wskazywał im sposoby zmniejszenia ich nędzy, wyszukiwał źródła pracy, zakładał związki współdzielcze i spożywsze—i dopiero, w ten sposób przygotowawszy grunt odpowiedni, gromił występki i wskazywał jasne strony tego nowego, mniej podatnego do grzechów życia. Praca Butsa na prowincji trwała lat kilkadziesiąt, — poczym skupił swoją działalność w Londynie, w najohydniejszym zakątku Ist-Endu, gdzie nieraz nawet życie jego było w niebezpieczeństwie. Sprawa posuwała się naprzód i tutaj, głównie dzięki temu, że udało mu się wśród najbiedniejszych wpoić głębokie uczucie braterstwa niedoli i przekonanie, że nie są opuszczeni przez wszystkich... Z potężnym wzrostem liczby zwolenników Butsa, bractwo to, które dotychczas zwało się Misją chrześcijańską, przyjęło nazwę Armji Zbawienia, pod hasłem walki z grzechem, który jest największym wrogiem ludzkości. Buts zorganizował swoją armję według regulaminu armji angielskiej, z tą tylko różnicą, że służą w niej kobiety narówni z mężczyznami. Armja ma swoje umundurowanie i stopnie wojskowe—i nieraz odbywa po mieście uroczyste marsze przy odgłosie trąb i bębnow. Ta zewnętrzna strona nauki Butsa jest może trochę teatralną, ale pod nią kryje się chęć oddziaływania na wyobraźnię najszerzych tłumów i głęboka miłość bliźniego.

Każdy wstępujący do Armji Zbawienia składa przysięgę na ścisłe przestrzeganie regulaminu, gdzie między innymi jest powiedziane: „obowiązuję się nigdy nie ucieszać niewiasty, dziecka ani wogóle osoby, będącej w mojej władzy; przeciwnie, zobowiązuję się bronić ich od wszelkiego zła i niebezpieczeństw, i—o ile mi sił star-

czy— przyczyniać się do ich szczęścia i dobra w tym i przyszłym życiu“.

W roku 1889-m wybuchł olbrzymi strajk robotników portowych w Londynie; strajkowało przeszło 150 tysięcy ludzi. Armja Zbawienia, nie zwlekając, założyła tanie kuchnie ludowe przeważnie dla dzieci, i w ten sposób uratowała wielu od głodowej śmierci.

Powaga Armji coraz bardziej rośnie, tym więcej, że, chociaż ludność płaci stałe podatki na biednych, jednak Anglik tylko w ostateczności ucieka się do dobroczynności publicznej: nieraz woli przepędzić noc pod gołym niebem na kamiennej ławce na bulwarach Tamizy, aniżeli udać się do przytułku noclegowego, lub zapisać się do domu zarobkowego. Poważny wpływ na to ma i ta okoliczność, że Anglik, utrzymywany kosztem dobroczynności państwowej, traci prawa wyborcze. Oficerowie Armji Zbawienia obchodzą nocami rozmaite, często mało dostępne zaułki miasta, i prowadzą spotkanych włóczęgów i biedaków do jednego z domów noclegowych Armji, gdzie za parę groszy może on przenocować, umyć się i przeżywić cały następny dzień, wciągu którego nieraz uda się znaleźć dla niego zarobek.

Niezależnie od tego Buts pozakładał warsztaty i tak zwane kolonje pracy miejskie, wiejskie i zamorskie; te ostatnie w mało zaludnionych krajach Afryki, Australji i Kanadzie, gdzie bezdomni włóczędzy mogli zacząć nowe pracowite życie i stworzyć sobie względny dobrobyt.

Ale nietylko jedna Armja Zbawienia troszczy się w Anglii o biedaków. Trudno prawie uwierzyć, jakie mnóstwo rozmaitych prywatnych instytucji dobroczynnych rozwija nad niemi swoją opiekę.

Arnold Tojnbe, student uniwersytetu Oxfordzkiego, przyszedł do przekonania, że, aby z korzyścią pracować dla biednego ludu, przedewszystkim trzeba go dokładnie poznać i żyć się z nim, aby zyskać jego zaufanie i przyjaźń. Wtedy dopiero odda właściwy pożytek pomoc materialna, oraz praca nad podniesieniem oświaty i nad poprawą obyczajów. Zasadę tę rozpowszechniał wśród swoich kolegów i społeczeństwa. Swobodny od swych zajęć czas i całe wakacje przepędzał w Wejtczepel, szukając znajomości z najbiedniejszymi i wnikając w najdrobniejsze szczegóły ich życia. Na mityngu ludowym odezwał się w te słowa: „Biedacy! wybaczcie nam zamożniejszym i oświeconym, żeśmy nieraz wami pogardzali, bośmy was niedostatecznie znali. Teraz ja i moi zwolennicy chcemy poświęcić wam część naszego życia. Obdarzcie nas zaufaniem i dajcie obietnicę, że sami lepszego, uczciwego życia pragniecie“. Tegoż dnia Tojnbe zachorował i wkrótce umarł w 28 roku życia. Śmierć młodego filantropa wywołała wielkie wrażenie i w niedługim czasie powstała pierwsza tak zwana *kolonja uniwersytecka* w Wejtczepel jego imienia. Tutaj mieszkają studenci i ludzie różnych zawodów, mężczyźni i kobiety, którzy, utrzymując towarzyskie i sąsiedzkie stosunki z biedakami, swoim uczciwym życiem świecą im dobrym przykładem.

Z czasem liczba kolonji uniwersyteckich znacznie wzrosła, i powstały przy nich instytucje oświatowe, wykłady o moralności i obyczajach, biblioteki, nawet urządzenia mające na celu rozrywkę dla najbiedniejszych. Tak na przykład w Tojnbehall rok rocznie urządzana bywa wystawa obrazów i dzieł sztuki za bardzo małą

opłatą wejścia. W pierwszym roku zwiedziło wystawę 9 tysięcy osób, w następnym już 27 tysięcy.

Kolonje uniwersyteckie korzystają z zapomogi państwowej, jak zresztą prawie wszystkie instytucje dobroczynne i oświatowe w Anglii, nie mówiąc już o tym, że każde dziecko angielskie kształcić się może za bardzo małą opłatą w szkołach państwowych. Powiedzmy raczej nie może, — a kształcić się musi, gdyż nauczanie początkowe jest w Anglii obowiązujące. Zwiedzaliśmy jedną z takich *szkół początkowych* i oto co nam utkwilo w pamięci. Przed rozpoczęciem lekcji dzieci muszą się wybiegać na obszernym i czystym dziedzińcu szkolnym. O 9-ej zaczyna się nauka, — osobno dla chłopców, osobno dla dziewcząt, — odśpiewaniem chóralnym pieśni, której przewodnią myślą jest umiłowanie pracy, poszanowanie praw człowieka i miłość bliźniego. Staruszek nauczyciel miejscowy zapewniał nas z własnego doświadczenia, że wychowawcy szkoły nawet po kilkudziesięciu latach nie zapominają słów tej pieśni: „Rozmawiałem nieraz z ludźmi bardzo zepsutymi, nie mogłem się doszukać w ich duszach i umysłach nawet śladu pobytu w szkole, — ale wystarczyło przypomnieć im zwrotki szkolnej pieśni, aby wywołać jakiś pocziwy przebłysk w ich twarzy, a nieraz i słowa prawdziwej skruchy“.

Byliśmy na lekcji dyktanda, podczas której uwaga nauczyciela jednakowo była zwrócona na prawidłową pisownię, jak i na prawidłowe siedzenie w ławce. Podczas lekcji geografji Anglii uczniowie przytaczali znane im wierszyki poetów, którzy wychwalali piękność kraju rodzinnego, a jeden z uczniów dodał od siebie: „ojczyzna nasza jest piękną, bo panuje w niej światło i swoboda“.

W szkole wzorowy porządek i karność, chociaż nie czuć żadnej surowości i przymusu, a nauka i zabawa idzie gładko i składnie; nie słyszy się hałasów, nie widzi się popychania,—a trzeba dodać, że do opisywanej przez nas szkoły uczęszczało tysiąc dzieci. Uczniowie po skończonej lekcji, jak na komendę, jednocześnie zamykają swoje szuflady, wstają i biegną na dziedziniec. Stosunek uczniów do nauczycieli nacechowany jest otwartością i serdecznością. Podczas zabawy nauczyciele przyjmują w niej udział narówni z dziećmi.

W Anglii każdy ma prawo otworzyć szkołę i wyklądać w niej, co mu się podoba; władza szkolna zwraca tylko uwagę, aby pomieszczenie szkolne odpowiadało wymaganiom zdrowotności i bezpieczeństwa od ognia. Jakiśmy wspominali, rząd bardzo często, przekonawszy się o użyteczności szkoły, daje jej zapomogę. Za najlepszego nauczyciela uważany jest ten, kto umie w dzieciach wzbudzić największe zamilowanie do nauki.

Tak zwane *instytucje politechniczne* w Londynie jest to szereg szkół, powstałych przeważnie ze składek publicznych; w szkołach tych każdy, za nieznaczną opłatą, może nabrać lub uzupełnić swoje wykształcenie techniczno-zawodowe. A więc mamy tu kursy dzienne i wieczorne gospodarstwa kowiego, kroju, rachunkowości, wszystkich rzemiosł, budownictwa, praktyczne kursy miernictwa, przędzalnictwa, tkactwa, kucharstwa, budowy okrętów. W szkołach tych kształci się przeszło 60 tysięcy słuchaczy, z których niejeden składa potym z powodzeniem egzamin w uniwersytecie Londyńskim.

Uniwersytety ludowe posuwają szybko naprzód sprawę wyższego wykształcenia w Anglii. Myślą przewod-

nią tych instytucji jest, że człowiek powinien rozszerzać zakres swych wiadomości aż do śmierci, dlatego też spotykamy na nich często nawet 60-cioletnich słuchaczy. Uczelnie te stanowią bądź to ruchome filje uniwersytetów państwowych, bądź też są zakładane i utrzymywane z inicjatywy prywatnej. Obecnie liczba tych uczelni do- sięga 400-tu, liczba słuchaczy 50 tysięcy.

Naturalnie że jeśli naprzykład włościanin angielski wysłucha kursu ekonomji politycznej na uniwersytecie ludowym, — nie przeszkodzi mu to uprawiać w dalszym ciągu własnoręcznie swego kawałka ziemi; zarówno też kurs literatury powszechnej nie odrywa szewca od jego warsztatu. Swoją drogą wielu słuchaczy uniwersytetów ludowych składają egzamin i kształcą się dalej w swojej specjalności. Z prawdziwą przyjemnością można obserwować rozjaśnione oblicza słuchaczy robotników przy ukazaniu się na katedrze ulubionego prelegenta. Po lekcji następuje rozprawa, a nieraz słuchacze przysyłają pocztą swoje wypracowania piśmienne, na których wykładający notuje swoje uwagi i zwraca je na jednej z następnych lekcji. Zwykle przed lekcją rozdawane są słuchaczom litografowane kartki z krótkim streszczeniem wykładu.

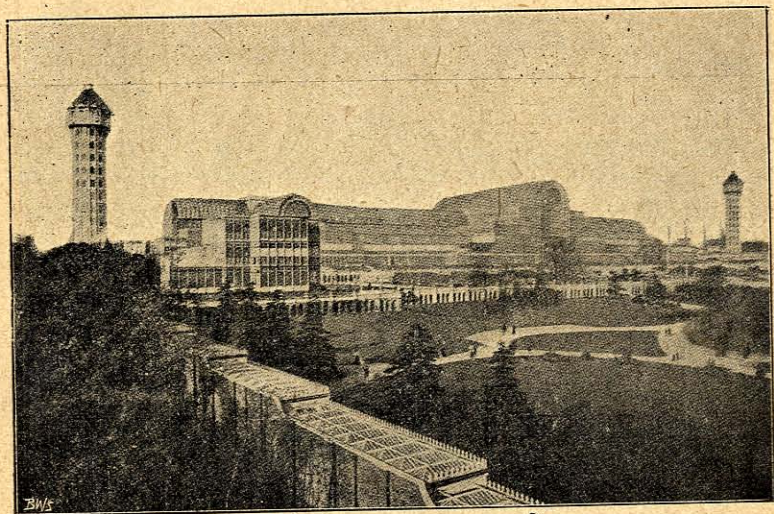
Podług nowego prawa, na życzenie obywateli gmina obowiązana jest składać po pół pensa od każdego funta szterlinga swego dochodu na zakładanie i utrzymywanie bezpłatnej *Biblioteki publicznej*,—dzięki czemu, oraz dzięki ośmierności społeczeństwa, powstało w Anglii mnóstwo bibliotek miejskich i wiejskich. Największa na świecie biblioteka znajduje się w Muzeum Brytańskim; wydawać książek z tej biblioteki do domu nie wolno. W wielu bibliote-

kach znajdują się stoły dla uczącej się młodzieży; często bibliotekarz dowiaduje się, jaki temat mają opracować uczący się w danym zakładzie naukowym, i sam rozkłada im na stołach odpowiednie dzieła. W wielu bibliotekach rozwieszają na ścianach spis książek, które mają najbardziej odpowiednie zastosowanie w chwili bieżącej; tak na przykład podczas wojny z Burami, wskazywano książki traktujące o tej kolonii i o prowadzeniu wojen wogóle. Prawie niema w Anglii biblioteki, której podłogi nie zaścielałby gumowy chodnik, dla zachowania ciszy; niema też takiego działu wiedzy ludzkiej, któryby w każdej bibliotece angielskiej nie był mniej lub więcej w książki zaopatrzone. Jak dalece Anglicy odczuwają potrzebę czytelnictwa, za dowód służy także tak zwany *Związek narodowy wspólnego czytania*, który postawił sobie za cel: 1) zaprowadzić we wszystkich warstwach społecznych czytanie z planem kształcącym, 2) łączyć czytających w domach prywatnych w kółka, dla wspólnego czytania i omawiania dzieł wyborowych, 3) dostarczać czytającym potrzebnych objaśnień, 4) starać się coraz bardziej rozwinąć potrzebę kolejnego i planowego czytania i 5) wskazywać, jakie mianowicie książki są dla każdego najpotrzebniejsze i jak je z korzyścią czytać. Pod kierunkiem Związku urządzają się corocznie wycieczki, zastosowane w miarę możliwości do treści przeczytanych książek, uzupełniane pogadankami, a często obrazami nikuąciami.

Na jednej z wycieczek prelegent pokazał zebrany mapę kuli ziemskiej, z popodkreślaniami na niej posiadłościami angielskimi. Na zapytanie, gdzie jest środek angielskiego państwa, na zasłonie zjawił się gmach

parlamentu angielskiego... „Oto jest źródło naszej siły, bogactwa i wielkości, szanujmyż go, jak źrenicę oka“ — dodał prelegent.

Koroną wszystkich urządzeń ludowych w Anglii jest *Pałac ludowy*. Historia jego powstania jest poetyczną i niezwykłą. Powieściopisarz angielski Walter Besant napisał książkę pod tytułem „Rozmaitego rodzaju ludzie“, — której treść zaczerpnął z rzeczywistego życia Londynu. Nędza proletariatu, jego rozpacz, zepsucie — z jednej strony,



Dom Ludowy, zwany „Palacem Kryształowym“.

a eleganckie i pełne rozkoszy życie wybrańców losu — z drugiej, oto obrazy, na których tle autor przedstawia bohatera i bohaterkę swej powieści, którzy, porzuciwszy życie próżniacze wyższych sfer, z jakich pochodzili, cały swój majątek oddali na założenie ogromnego pałacu rozkoszy, przeznaczonego dla swych braci biedaków. Książka, na-

pisana z talentem, wywarła ogromne wrażenie; obudzone współczucie publiczności wyraziło się w szybkim złożeniu potrzebnej znacznej sumy pieniędzy na urzeczywistnienie ideału powieściowego. Wśród nędzy i zauków Ist-Endu powstał Pałac Ludowy...

Pałac Ludowy ma za zadanie uposażać umysł, rozwijać zdolności, wychowywać duszę człowieka. Tu od-



Brytańskie Muzeum narodowe.

bywają się koncerty i pogadanki popularne, mieści się szkoła rękodzielnicza, bogata biblioteka wraz z czytelnią, kąpiele publiczne, sale ćwiczeń gimnastycznych. W ciągu pierwszego roku zwiedziło go półtora miliona biedaków.

Wogóle należy dodać, że prawie każda społeczność ludowa instytucja w Anglii ma na celu i naukę, i rozrywkę i uobyczajenie, i pożytek materialny klas pracujących: na tym właśnie polega olbrzymie znaczenie

tych instytucji dla rzetelnej demokracji społeczeństwa.

Biedniejsi zyskują oświatę i oglądę towarzyską, gdzieindziej dostępne przeważnie dla zamożniejszych. Zmniejsza się więc znacznie różnica i pod względem umysłowym i pod względem form zewnętrznych towarzyskich,— wskutek czego zbliżenie i porozumienie między stanami zamożniejszymi a ludem, kapitałem a pracą, staje się łatwiejszym.

Ta mnogość i różnorodność instytucji społecznych tłumaczy nam również, że w Anglii prawie wcale nie widać knajp, kawiarni i cukierni. Trudno też spotkać Anglika, włóczącego się bez celu po mieście. Anglik po pracy spieszy do domu, skąd idzie do swego klubu, do czytelni lub teatru. Na przesiadywanie po knajpach nie ma czasu. W tym również należy szukać większego poszanowania rodzinnego ogniska, porządniejszego i uczciwego życia.

ROZDZIAŁ V.

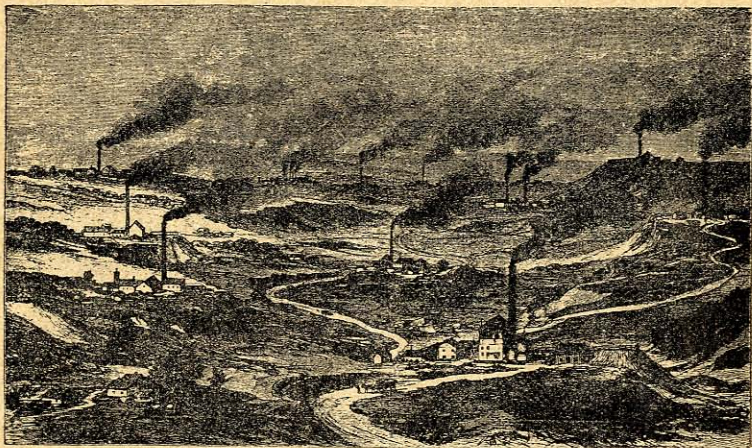
Naturalne bogactwa kraju. Miasto węgla kamiennego. Życie górników. Miasto bawelniane. Miasto portowe. Handel i kupiectwo. Życie rolników. Hodowla bydła i owiec. Wieś angielska. Związki rolników. Towarzystwo dla kupna odzieży. Miasta uniwersyteckie. Studenci angielscy.

Dzięki swemu położeniu geograficznemu Anglja w starożytności prawie nie podlegała zaborczym najazdom, i wiele ciemnych kart historii wieków średnich znalazło w Anglii tylko słabe odbicie. Życie narodu rozwinęło

się samodzielnie, a dzięki przyrodzonym bogactwom kraju, ułożyło się inaczej i szczęśliwiej, aniżeli gdzieindziej.

Góry w Anglii nie są tak wysokie i niedostępne aby stanowiły przeszkodę w częstym komunikowaniu się mieszkańców całej wyspy; wszystkie rzeki angielskie przeważnie są spławne, a brzegi ich obfitują w zaciszne i wygodne porty.

Równoległe z rozwojem handlu rozwijał się i przemysł



Krajobraz z okręgu górniczego.

kupcy spieszyli na okrętach w dalekie kraje, przemysłowcy zaczęli wydzierać matce-ziemi skarby ukryte w jej łonie; śmiało można powiedzieć, że węgiel kamienny stał się podwaliną bogactwa Anglii. Węgiel angielski, nie mówiąc o tym, że sam jest przedmiotem obszernego handlu wywozowego, dał bodziec i możliwość do ogromnego rozwoju przemysłu fabrycznego. Trudno sobie wyobrazić, coby się stało z dziesiątkami tysięcy fabryk angielskich,

gdyby naraz zostały pozbawione dobrego i taniego miejscowego węgla. Kopalnie więc węgla razem z kopalniami żelaza, ołowiu i cynku, stanowią olbrzymie bogactwo. Najstarsze kopalnie węgla, czynne już od trzynastego stulecia, znajdują się w Ninkastl, tuż obok miasta tejże nazwy, które zowią „miastem węgla kamiennego.“ Ninkastl leży na brzegu rzeki Tajny, której brzegi ściśle są zapełnione przez składy, doki i fabryki, a—każda z nich ma swoją bocznice kolejową. Również każda kopalnia ma swoją bocznice kolejową, którą przywozi węgiel aż do samej rzeki, gdzie stoją okręty. Węgiel ładuje się z wagonów bezpośrednio na okręty zapomocą platform, przedstawiających rodzaj wiszących mostów. Te wiszące mosty to opuszczają się, to podnoszą, w miarę napelniania okrętu węglem, pracując ogromnie szybko i składnie, jak jakieś olbrzymie ręce, poruszane niewidzialną siłą.

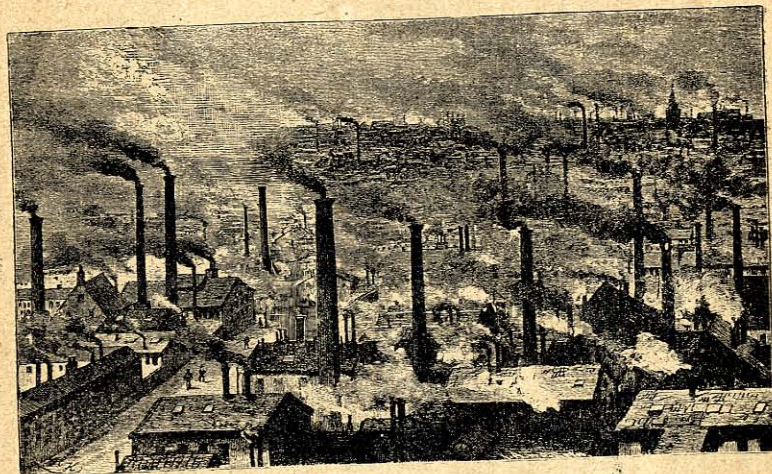
Praca górników jest ciężka i niebezpieczna. Żaden z nich nie ma pewności, czy, spuszczać się rano do szybu, wróci wieczorem na świat Boży żywy i cały. W szybie często zdarzają się wybuchy gazu, który niewidocznymi szczelinami wydobywa się z głębszych warstw; to znów zdarzy się oberwanie sklepienia w korytarzu lub przejściu i—jeżeli nawet odłamy węgla nie zabiją od razu górnika, to nieraz zostaje on żywcem pogrzebany, jeśli po kilkudniowych poszukiwaniach nie odnajdą go i nie odkopią. Jeszcze niebezpieczniejszymi są pożary w kopalniach; szyb wprędce zapelnia się gryzącym dymem i wielu górników ginie, nie zdążywszy znaleźć ratunku w ucieczce. Kopalnie narażone bywają również na zalanie przez wodę i górnik tonie, mając odciętą drogę do

odwrotu. Nieraz więc górnik musi zaglądać w oczy śmierci; odbija się to na jego charakterze i usposobieniu. Rzadko kiedy traci zimną krew, jest odważnym i przedsiębiorczym; bez chwili namysłu rzuca się na ratunek swoich towarzyszków, pamiętając, że „mnie jutro, co tobie dziś“.

Wiadomość o niebezpieczeństwie, jakiemu ulegli górnicy, lotem błyskawicy obiega całą osadę; do wylotu szybu zbiegają się żony, matki i dzieci i z niepokojem wyczekują ukazania się na powierzchni ziemi zbawczego kosza, w którym opuścili się na dno ratujący towarzysze. I leją łzy radości i okrywają pocałunkami uratowanych. Lecz ileż razy czekające matki i żony doznają zawodu! Ileż razy z zatopionymi lub zagrzebanymi giną i ci, którzy poszli im na ratunek!— Od wczesnej młodości górnik przyucza się do swej pracy, i zajęcie ojca przechodzi zwykle na syna. Już jako 13—14 letni chłopiec spuszcza się do szybu i wykonywa niektóre lżejsze prace, np. kieruje koniem, który przewozi wagoniki węgla, otwiera i zamyka drzwi do korytarzy i ganków. W 18-ym roku staje już nadobrze do pracy.— Lat temu pięćdziesiąt życie górników było jeszcze bez porównania, cięższym, aniżeli teraz; za długie godziny pracy zarabiali tak niewiele, że, aby pokryć wydatki na utrzymanie rodziny, musiały im w pracy pomagać żony, a często i 6-cio, 7-mio letnie dzieci, które ze strachem spuszczały się w głębokie, ciemne podziemia i pomagały przesuwac ciężkie wagoniki z węglem. Obecnie dużo zmieniło się ku lepszemu. W roku 1842-m uchwalono bil, na mocy którego zabronioną została w kopalniach praca kobiet i małoletnich. Właściciele kopalni obo-

wiązani są pamiętać o bezpieczeństwie swoich robotników, utrzymywać kopalnię w porządku, zapobiegać obrywaniu się węgla zapomocą tak zw. stemplowania, zaopatrzyć korytarze w dostateczną wentylację i t. d. Jednocześnie robotnicy sami, utworzywszy potężny związek górników, zdolali wywalczyć sobie lepsze wynagrodzenie za mniejszą ilość godzin pracy.

Pomimo że pył węglowy pokrywa, jakby sadzą, całą okolice kopalni, mieszkania górników są nadzwyczaj



Widok miasta fabrycznego w Anglii.

schludne; ich domki, obrośnięte dzikim winem i bluszczem, robią bardzo miłe wrażenie. Czas wolny od pracy, górnicy spędzają przeważnie w swoim klubie i bibliotece, a każda osada ma swoją orkiestrę i drużynę śpiewaczą. Młodzież z zapalem uprawia rozmaite sporty, jak: pływanie, wiosłowanie, grę w krokieta lub fut-bal czyli piłkę nożną. Związek górniczy pilnie stoi na straży interesów swoich członków i broni ich od wyzysku

właścicieli kopalń, grożąc w razie poważnych nieporozumień bezrobociem ogólnym, na przetrwanie którego posiada znaczne fundusze. Dodać należy, że strajk dochodzi do skutku tylko w razach nader wyjątkowych.

Ninkastl jest centrem przemysłu węglowego, jak Menczester jest centrem przemysłu bawelnianego. Menczester otacza ją dziewięć miast i trzysta osad, w których ogniskuje się prawie cały przemysł bawelniany Anglii, przemysł, który zaopatruje w wyroby bawelniane połowę kuli ziemskiej. Zdaleka już widzimy cały las kominów fabrycznych, wyrzucających gęste kłęby czarnego dymu, i kominom tym nie masz końca. Sam Menczester pod względem bogactwa i wielkości obrotów handlowych walczy o lepsze z Londynem. I tu życie robotników fabrycznych zmieniło się bardzo na lepsze dzięki wspomnianym już przez nas niejednokrotnie związkom zawodowym; wspomniane również przez nas kolonje uniwersyteckie wpłynęły wielce umoralniająco na ogół robotników fabrycznych. I chociaż można i tu spotkać szynki i pijaństwo, rozpustę i przekleństwa, wystarczy jednak odwiedzić klub robotniczy lub mityng robotniczy, aby się przekonać o ich wysokim poziomie kulturalnym. Zresztą pamiętajmy, że daleko więcej uwagi zwraca na siebie jeden pijak i rozpustnik, aniżeli dziewięciu ludzi pracowitych i obyczajnych.

Niema rzeki na świecie, któraby zaopatrywała w swą siłę wodną tyle przedsiębiorstw, ile niewielka stoczniowina Mersej, przy ujściu której do morza leży miasto portowe Liwepul. Na ulicach Liwepulu spotkać można majtków wszystkich narodowości kuli ziemskiej. Doki Liwepulu ciągną się na przestrzeni dziewięciu wiorst i mogą pomieścić kilka tysięcy okrętów. Dla ułatwienia ru-

chu pasażerskiego i towarowego, urządzony jest wzdłuż brzegu rzeki Mersej olbrzymi pomost ruchomy, który podnosi się i opada, w miarę przyływu i odpływu morza. Liwepul w 17-m wieku był małą wioską rybacką; z rozwojem sąsiedniego przemysłu fabrycznego i węglowego stał się olbrzymim miastem.

Liwepul jest również głównym składem towarów przywożonych morzem, i stąd koleje żelazne rozwożą je po kraju. Wielu kupców liwepulskich zajmowało się niegdyś handlem murzynami. Nikczemny ten handel dawał im olbrzymie zyski — wiele wspaniałych gmachów i pałaców powstało za pieniądze wyciśnięte z krwi i potu nieszczęśliwych negrów. Obecnie charakter handlu i kupiectwa angielskiego jest taki, że słowo kupiec jest prawie jednoznacznym z pojęciem człowieka wysoce uczciwego i prawego. Od połowy zeszłego stulecia przemysł zaczął spychać rolnictwo angielskie na drugorzędne stanowisko, innemi słowy w Anglii obecnie znacznie więcej ludzi żyje z przemysłu, niż z rolnictwa.

Rolnictwo angielskie skierowane jest głównie ku produkcji roślin pastewnych, służących za podstawę hodowli bydła, przeważnie mięsnego, oraz owiec słynnej rasy Sausdaunów. Ponieważ głównym celem hodowli bydła jest otrzymanie nie siły roboczej i nie tyle mleka, co mięsa, hodowcy angielscy wytworzyli rasę bydła o słabo rozwiniętym szkieletcie kostnym, zwanego Szorthornem albo krótkorogiem. — Ważne miejsce w rolnictwie angielskim zajmuje jęczmień, który służy do wyrobu piwa.

W Anglii prawie niema drobnej własności ziemskiej i cała ziemia skupiona jest w rękach nielicznych właścicieli, przeważnie lordów, którzy mieszkają w swoich sta-

rożytnych zamkach, otoczonych wspaniałymi parkami. Ziemię wydzierżawiają drobnym fermerom, którzy uprawiają ją wspólnie ze swoją rodziną i donajętymi robotnikami. Koło trzydziestu lat temu zaczęto przywozić do Anglii zboże, przeważnie pszenicę, z Indji, Ameryki i Australji. Pszenica ta, pomimo dalekiego przewozu, była tańsza, aniżeli miejscowa. Zboże i produkta rolnicze spadły w cenie, a położenie fermerów—a wraz z nimi i najemnych robotników rolnych, wielce się pogorszyło. Zaczął się napływ robotników rolnych do miast, gdzie łatwiej znaleźć kawałek chleba. Wieśniak angielski, nie posiadając nie tylko kawałka własnej ziemi, ale nawet własnej chaty, znajduje się w zupełnej zależności od fermera, i z chwilą, kiedy ten nie może dać mu zarobku, skazany jest na głód,—dąży więc do miasta, lub wyjeżdża za Ocean. Wieś się wyludnia, a pozostali wieśniacy znajdują lepsze warunki bytu.—Godziny pracy wieśniaków, ich rodzaj mieszkania i pożywienia, mało się różnią od mieszkańców miast. Prawie wszystkie drogi wiejskie są brukowane i czysto utrzymane, a domki mieszkalne, czyli tak zwane „kote-dże“, są schludne, każdy otoczony małym ogródkiem, w każdym oknie wisi czysta firanka i widać doniczki z kwiatkami. Porządek we wsi angielskiej głównie należy przypisać temu, że wszyscy jej mieszkańcy, fermerzy, robotnicy, rzemieślnicy, biedniejsi i zamożniejsi, stanowią gminę, która rządzi się sama. Jeżeli np. wieś ma 300 mieszkańców, to na zebraniu wybiera się od 5—10 osób, które stanowią radę gminną. Każdy mieszkaniec wsi może być wybrany do rady, a rada decyduje o wszystkim, co się tyczy utrzymania dróg, oświetlenia ulic, zaopatrzenia mieszkańców w wodę, usuwania nieczystości, opie-

ki nad niezdolnymi do pracy i t. p. Każda wieś ma swój sklep kolonialny, piekarnię, jatkę i naturalnie szkołę. W większości wsi znajduje się tak zwany uniwersytet wiejski, gdzie odbywają się wykłady dla dorosłych, mieści się klub, biblioteka i urządzane bywają rozmaite rozrywki. Codzień o 9-ej rano dzwonek oznajmia dzieciom, że czas do szkoły, a chłopcy i dziewczęta ze śmiechem, przeganiając jedno drugie, śpieszą na naukę. Dzieci wiejskie są zawsze zdrowsze i lepiej ubrane od dzieci miejskiej biedoty; prawie wierzyć się nie chce, że te rumiane, czysto ubrane dzieciaki, co wożą swoje młodsze rodzeństwo w ładnych wózekkach, są dziećmi jakiegoś pastucha lub oracza, a nie jakiegoś zamożnego kupca z większego miasta, które przyjechały na wieś tylko na letnie mieszkanie. Prawie każda wieś ma swoje Towarzystwo kupna odzieży, które zwykle powstaje w ten sposób: każdy członek składa tygodniowo, dajmy na to, 5 pensów, czyli około 40 groszy. Za zebrane pieniądze kupują czy to spodnie, czy kurtkę, czy buty, i ciągną losy, kto pierwszy daną rzecz ma otrzymać. Na drugi tydzień kupują znowu co innego, i znowu szczęśliwy wybraniec losu otrzymuje część garderoby i t. d., dopóki każdy z członków nie zostanie zaopatrzony w odzież. Samo przez się rozumiesz, że członkowie Towarzystwa, już zaopatrzeni w odzież, nie przestają wносить swych składek, dopóki wszyscy członkowie jej nie posiadają. Jakiśmy wspominali, wieśniacy angielscy nie posiadali własnej ziemi, ani domu, i lada chwila mogli się spodziewać, że właściciel usunie ich z mieszkania, które, nie odnawiane i nie reperowane, było istotnie nieraz więcej podobne do chlewu, niżeli do mieszkania ludzkiego. Czyny dzierża-

wny za ziemię był bardzo wysoki, płaca najemnych robotników rolnych bardzo niska, oczywista, że warunki takie zniechęcały do mieszkania na wsi, która zaczęła się tak wyludniać, że wręcz powstała obawa, iż pola zostaną nieuprawne, a „dziedzice“ pozbawieni swoich dochodów.

Dla tego więc, aby utrzymać swoich dzierżawców, lordowie ponaprawiali lub pobudowali nowe „kotedże“ i obniżyli czynsz dzierżawny. Losem robotników rolnych, najmitów, pierwszy zajął się duchowny, ksiądz Hirdlston, który słowem i pismem zwracał się do lordów i fermierów, wskazując im konieczność poprawienia bytu najmitów rolnych. Przekonawszy się, że głos jego był głosem wołającego na puszczy, wydrukował w najpoczytniejszych gazetach artykuł, gdzie żywymi barwami odmalował rozpaczliwe położenie robotników rolnych w hrabstwie (okręgu), w którym mieszkał. W odpowiedzi otrzymał parę listów od fermierów z innych okolic, w których fermierowie prosili go, aby skłonił robotników swojego okręgu przesiedlenia się do nich, ofiarując znacznie lepszą płacę i mieszkanie oraz zwrot kosztów podróży. Choć propozycja była mocno zachęcająca, jednak robotnicy przesiedlali się z początku bardzo niechętnie, gdyż byli tak przygnębieni i bojaźliwi, że bali się wszelkiej zmiany. I ksiądz Hirdlston bardzo się napracował, zanim skłonił pierwszych robotników do wyjazdu. Ale najtrudniejszym jest pierwszy krok. Robotnicy, znalazłszy w nowym miejscu istotnie lepsze warunki bytu, zawiadomili o tym listownie swoich krewnych i znajomych, którzy pociągnęli za nimi. Miejscowi fermierzy, w obawie braku rąk do pracy, zmuszeni byli również popra-

wić pozostałym warunki bytu. Te wędrówki były pierwszym bodźcem do obudzenia ruchu robotniczego wśród robotników wiejskich. Ruch ten wzmógł i ożywił działacz społeczny, Józef Artcz. Sam robotnik rolny, wskazywał on im konieczność zjednoczenia się i samoobrony; stworzył tak zwany związek narodowy robotników wiejskich, którego liczba członków wkrótce przekroczyła 100 tysięcy. Związek wydaje swój tygodnik (gazetę), w którym robotnicy rolni mogą znaleźć wszelkie potrzebne informacje i wskazówki. Liczba członków związku ciągle wzrasta, tworzą się związki okręgowe, które spełniają tę samą rolę, co związki zawodowe w przemyśle.

Związek stara się o polepszenie doli swoich członków. Bardzo często na wsi angielskiej spotkać można osobliwego wyglądu pojazd, który stanowi rodzaj maleńkiego domku mieszkalnego. Delegowany przez związek mówca spędza w tym domku ruchomym nieraz kilka miesięcy, dopóki nie objeździe wszystkich wskazanych sobie miejscowości, gdzie ma wygłosić odczyty i udzielić odpowiednich wskazówek.

Obok wielkich miast fabrycznych i przemysłowych niemało jest w Anglii spokojnych miasteczek, dokąd ludzie jeżdżą czy to dla odpoczynku, czy dla rozrywki, czy dla kąpieli morskich. Takimi np. są miasta: Brajton, Hastings; inne znowu, jak np. Oksford i Kembrydż, są to miasta uniwersyteckie i całe życie ich ogniskuje się około tych uczelni. Oksford pod wieloma względami przypomina miasto średniowieczne. Budowle starożytne utrzymane są z taką troskliwością, że zdają się nietknięte zębem czasu; jeżeli np. ze ściany wykruszy się cegła, zastępują ją nową, ale takiegoż formatu i wiel-

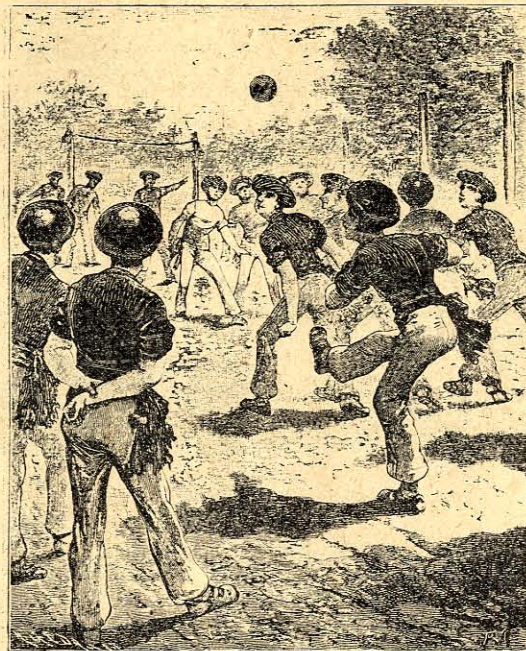
kości. Na placach i w alejach pełno starożytnych pomników, tak że każdy musi odczuć na sobie tchnienie średnich wieków, które wieje na niego ze starożytnych budowli o poczerniałych murach.

Uniwersytet oksfordzki ma kilkanaście wydziałów, czyli kolegów, i każde kolegium szczyci się posiadaniem jakichś cennych dawnych rękopisów i zabytków, jak również słynnych ludzi w gronie swych profesorów lub wychowawców.

Każdy młodzieniec, który ma czym opłacić wpisowe, może wstąpić na uniwersytet i nikt go się nie pyta, gdzie i czego się poprzednio uczył. Student sam wybiera sobie kolegium, które pragnie studjować, i profesorów, których wykładów pragnie słuchać. Tak zwany „tutior“ czyli wychowawca wskazuje studentowi podręczniki, z których ma korzystać, wskazuje mu, jak się ma przygotowywać do złożenia egzaminu i zwraca uwagę na jego pilność i obyczaje. Pod wieloma względami student angielski jest daleko więcej skrępowany, aniżeli w innych krajach. Studenci, mieszkający w gmachach kolegjum i poza nim, muszą punktualnie przychodzić do sali jadalnej na wspólny obiad, uczęszczać na wykłady i nabożeństwa; najpóźniej o dwunastej wracają do domu i kładą się spać.

Wszystkie te krępujące przepisy studenci święcie zachowują, za to w innym kierunku korzystają z nieograniczonej swobody: mają prawo urządzać zebrania, zawiązywać stowarzyszenia, przemawiać publicznie na dowolny temat, pisać artykuły i wydawać gazety. Pomiedzy władzą uniwersytecką a studentami panują zawsze najserdeczniejsze stosunki, oparte na wzajemnym szacun-

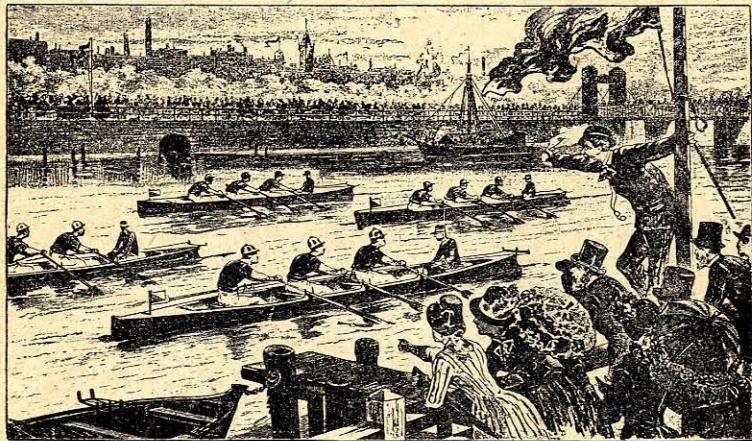
ku i zaufaniu. Często profesorowie razem ze studentami urządzają w czasie wakacji dłuższe wycieczki po kraju, uzupełniają swoje zbiory przyrodnicze i archeologiczne, często podczas wędrówki napotykają stare dokumenty historyczne, wreszcie urządzają popularne odczyty i biblioteki.



Zabawa młodzieży w „piłkę nożną“.

Wszystkie te zajęcia umysłowe nie przeszkadzają bynajmniej studentom oddawać się z zapałem ćwiczeniom ciała czyli sportowi; grają w piłkę, w krokieta, polują, uprawiają fechtunek, naukę pływania i wiosłowania. Każde kolegium ma swoją łódkę, ośmiu wiosłarzy i sternika; przygotowanie do wyścigów trwa koło 5—6

tygodni; wiosłarze odbywają na rzece codzienne ćwiczenia i zachowują odpowiedni regulamin: wczas jedzą obiad, wczas kładą się spać, odżywiają się przeważnie mięsem i czerstwym chlebem, nie jedzą żadnych ciast, niewiele palą i prawie wcale nie piją wina. Cała ludność Oksfordu obecna jest na wyścigach, wieczorem



Wyścigi na łodziach.

urządza zwycięzcom owację, przy licznych toastach, przemówieniach i śpiewach. Jeszcze większe zainteresowanie w społeczeństwie angielskim budzą wyścigi wiosłarskie, w których biorą udział załogi dwóch uniwersytetów: w Oksford i Kembrydż; odbywają się one w marcu, i przez kilka dni cały Londyn o nich tylko mówi, a gazety poświęcają im sążniste artykuły.

ROZDZIAŁ VI.

Szkocja. Glezgo. Edyburg. Ludność Szkocji. Przyroda Szkocji. Wyspy Hebrydzkie. Grota Fingala.

Północną część Anglii stanowi Szkocja, różniąca się wybitnie od Anglii nie tylko swoją przyrodą, ale i obyczajami i wieloma prawami, którymi rządzą się jej mieszkańcy. Długie lata Anglii i Szkocji toczyły ze sobą zacięte walki i wiele krwi przelano z obydwóch stron. Wreszcie w początkach 17-go stulecia dwa wrogie sobie dotychczas narody złączyły się w jedno państwo i z czasem zlały się prawie zupełnie w jeden naród.

Dobrobyt obydwóch krajów szybko zaczął wzrastać. Szkoci są od Anglików bardziej wielomówni, żywsi w ruchach i więcej ciekawi.

Południowa Szkocja ma więcej nizin, północna jest bardzo górzysta; gdzie okiem rzucisz, ciągną się łańcuchy gór, poprzerywane wązkiemi przesmykami i głębokimi wąwozami. Często spotykamy otoczone wieńcem skał, czyste, jak kryształ, jeziora; górskie potoki szumią po skałach i przerywają groźną ciszę, a każdy wykrzyk odbija się stokrotnym echem o skalne olbrzymy. Szczególniej pięknym i malowniczym jest zachodnie wybrzeże Szkocji z licznymi zatokami morskimi, które nieraz bardzo głęboko wrzynają się w ląd. Wschodnie wybrzeże przedstawia ogromne płaskowzgórze i pozbawione jest zatok morskich.

Klimat Szkocji nie sprzyja rolnictwu, jednakże dzięki wytrwałej pracy rolnicy szkoccy doszli do takich rezultatów, jakimi nie mogą się poszczycić mieszkańcy bogatych brzegów morza Śródziemnego. Dostyc powiedzieć, że, kiedy w końcu 18-go stulecia pole, zasiane pszenicą, przedstawiało w Szkocji osobliwą rzadkość, obecnie jest ona powszechnie uprawiana. I pod względem rozwoju przemysłowego Szkocja nie pozostała w tyle. Glazgow, główne miasto Szkocji nad rzeką Klajdę, ma olbrzymi przemysł i przytym bardzo różnorodny. Posiada mnóstwo fabryk wełnianych, bawełnianych, jedwabnych, wyrobów metalowych, narzędzi i maszyn, budowy okrętów, wyrobów porcelanowych i szklanych, fabryk chemicznych i t. d.

Glazgow (czyli Glezgo) ustępuje tylko Londynowi co do wielkości obrotów handlowych; a jeszcze w początkach dziewiętnastego stulecia Glazgow był małym miasteczkiem i tylko energii i przedsiębiorczości swoich mieszkańców zawdzięcza obecne stanowisko. Tak np. pogłębione zostało dno rzeki Klajdy, dzięki czemu największe okręty mogą zarzucać kotwicę w samym mieście. Tak samo, jak i w Londynie, powietrze w Glazgowie przepojone jest sadzą, która w czasie śloty tworzy na ulicach rzadkie, czarne błoto. Tak samo, jak Londyn, Glazgow ma swój Ist-End i West-End, swoje pałace bogaczy i mieszkania nędzarzy. Najwspanialszym gmachem Glazgowa jest gmach Uniwersytetu, którego budowa kosztowała pięć milionów rubli. Szkoci szczodrzy są w stawianiu pomników dla swoich królów, poetów, uczonych, a nawet burmistrzów miast, — ale jeszcze skwapliwsi w budowaniu gmachów szkolnych. Szkoci, bardzo pracowici i oszczędni w ogóle,

nie żałują kosztów, aby w każdej wiosce stanęła szkoła, gmach, który odznacza się nie tylko wygodą, ale i pięknnością.

Glazgow wybiera do parlamentu londyńskiego 7 posłów i, jak w całej Anglii, podczas wyborów panuje tu ogromne ożywienie. Po ulicach przechadzają się tak zwani sandwiche, buterbrodzi, czyli roznosiciele ogłoszeń, mając plecy i piersi obwieszane olbrzymimi odevkami do wyborców, zalecającemi tego lub owego kandydata. Snują się także po mieście wozy, również z ogłoszeniami z powodu wyborów. Spotykamy grupy ludzi rozprawiających z ożywieniem, — rozprawy te jednak prawie nigdy nie przechodzą w kłótnie. Szkoci tak samo, jak Anglicy, pamiętają zawsze o dobrych obyczajach towarzyskich; dotyczy to zarówno biednych, jak bogatych.

Nie tak jeszcze dawno cała ludność Szkocji składała się z oddzielnych rodów czyli klanów, niektóre z nich liczyły po kilka tysięcy osób. Klany te zajmowały jedną lub kilka wsi i żyły swoim odrębnym życiem. Pomiędzy członkami klanu nie było różnic majątkowych, nie było więc biednych i bogatych, wszyscy byli sobie równi, z wyjątkiem najstarszego w rodzie czyli naczelnika klanu; ci to właśnie naczelnicy klanu zaczęli z czasem ciemnić jego członków, pozbawiając ich własności i składając różnemi sposobami do usunięcia się z klanu, aby zawładnąć ich działkami ziemi. Dzięki temu i w Szkocji znajdujemy wielu właścicieli ziemskich, nieraz potomków dawnych naczelników klanów, posiadających ogromne przestrzenie ziemi. Do niedawna ziemia ta dawała im wielkie dochody; teraz dochody te się zmniejszyły

z tych samych powodów, co i w Anglii, mianowicie wskutek przywozu zboża zagranicznego.

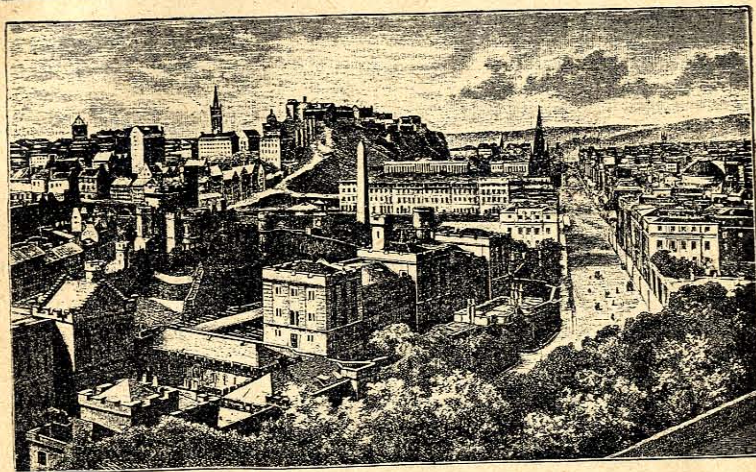
Położenie włościan szkockich bardzo się też poprawiło, szczególnie, odkąd zaczęli łączyć się w związki rolnicze i wspólnymi siłami bronić swoich interesów.

Jednym z najpiękniejszych miast Szkocji jest Edyburg; leży on we wschodniej Szkocji, przy samym ujściu do morza rzeki Fort.

Edyburg stanowi najzupełniejsze przeciwieństwo z Glazgowem.

Glazgow zasadza swoją pomyślność na handlu i przemyśle i zdaje się istnieć tylko dla zysku; Edyburg, starożytna stolica Szkocji, jest zupełnie pozbawiony tego charakteru. Burmistrz edyburgski przechowuje dotychczas w ratuszu dawne insygnia i kosztowności królewskie, ba! nawet więcej,—jeden z gmachów nosi dotychczas nazwę parlamentu, który już dawno nie istnieje. Starożytna część miasta, zbudowana na wysokim pagórku, szczególnie obfituje w pamiątki historyczne. Na wierzchołek wzgórza prowadzą wąziutkie schody kamienne, o wytartych stopniach, liczące paręset lat; z obu stron schodów, wznoszą się ściany bardzo starożytnych domów. Główna ulica tej części miasta ciągnie się wzdłuż grzbietu wzgórza, a zwiężając się stopniowo, dochodzi do zamku, zbudowanego w 15-m wieku na samym brzegu głębokiego wąwozu. Arsenal zamkowy wypełniony jest mnóstwem zbroi: hełmy, tarcze, miecze, topory, wypełniają liczne sale; niema ich tylko komu przywdziewać, a z dawnego wojska szkockiego pozostał tylko bataljon sławnych szkockich łuczników, ubranych w czerwone kurtki i rodzaj kraciastych krótkich spódnicek z obnażonymi kolanami i łydkami; strojem tym przypominają oni dawne czasy.

W skarbcu zamku królewskiego znajduje się wiele szkockich pamiątek, a pomiędzy nimi miecz, berło i korona królewskie, szczerozłote, wysadzone drogiemi kamieniami. Pozbawione istotnego uroku władzy, leżą pod szklanym kloszem i żelazną siatką, w niewielkim, sklepionym, pra-



Edyburg, stolica Szkocji.

wie ciemnym, pokoiku. Pokazują również w zamku szereg małych zakratowanych cel więziennych, do których często wprost od stołu biesiadnego wprowadzano dworzan popadłych w nielaskę królewską, lub tych, których niesłusznie oskarżyli przed królem jego zausznicy. Ileż tu rozlegało się jęków, ile łez wyłano! Wszystko to minęło, jak straszny sen, jak i cierpienia ofiar ludzkiej srogości.

Dziś słyhać tylko gwarne rozmowy zwiedzających zamek licznych podróżników. Na najwyższym tarasie zamkowym stoi po dawnemu olbrzymia armata z 15-go

wieku, która służy za ozdobę, nie siejąc już wokoło śmierci i zniszczenia.

Ze szczytu roztacza się wspaniały widok: lasy, łąki, góry i piękne domki radują oko; nie widać tu kominów fabrycznych, szpecących okolice innych miast przemysłowych. Tylko drukarnie i handel księgarski postawione są w Edyburgu na wysokiej stopie, a zbyt na książki jest w Szkocji istotnie olbrzymi; w każdym mieszkaniu ubogiego wyrobnika znajdujemy małą biblioteczkę, a każde miasteczko ma swoje kółko literackie, które urządza wieczory muzykalno-literackie, zapraszając na nie znanych muzyków i pisarzy. W niektórych miastach cała ludność bez wyjątku, tak mężczyźni, jak kobiety, należą do kółka literackiego. Takie towarzystwa mają już swoje własne duże biblioteki, obszerne czytelnie, gabinety przyrodnicze, a nieraz utrzymują swoim kosztem szkoły sztuk pięknych lub obcych języków. Im więcej towarzystwo liczy członków, tym oczywiście jest zamożniejsze i roztacza szerszą działalność. Pomimo niezaprzeczenie wysokiej kultury i oświaty Szkotów, są oni dość zabobonni, i w życiu ich przechowało się wiele zwyczajów, które przypominają starożytne czasy pogańskie.

Trudno spotkać kraj, w którymby starzy i młodzi słuchali z większym zainteresowaniem cudownych bajek i fantastycznych opowieści, jak w Szkocji.

Niedaleko Edyburga znajdują się pokłady węgla kamiennego, które ciągną się pod dnem rzeki Fort i przechodzą dalej. W 18-m stuleciu przy samym ujściu tej rzeki wykopany został szyb, z którego wydobyty węgiel bezpośrednio można było ładować na stojące w przy-

stani okręty. Długie lata praca w kopalni tej odbywała się pomyślnie, dopóki niebywale wielki przyływ morski nie zatopił jej wraz z znajdującymi się w niej górnikami. Od tej pory dobywanie węgla z tego szybu zostało przerwane.—Północna Szkocja jest nader malownicza, prawie cała pokryta górami i mało zaludniona. Główne zajęcie



Szkot w dawnym stroju narodowym.

górali szkockich stanowi polowanie, hodowla bydła i rybołówstwo. Górale odznaczają się zimną krwią, energią i dumą. Ostatnia właściwa jest w ogóle wszystkim Szkotom, którzy z góry patrzą na cudzoziemców, nie wyłączając Anglików. Górale są jeszcze więcej zabobonni, niżeli mieszkańcy dolin.

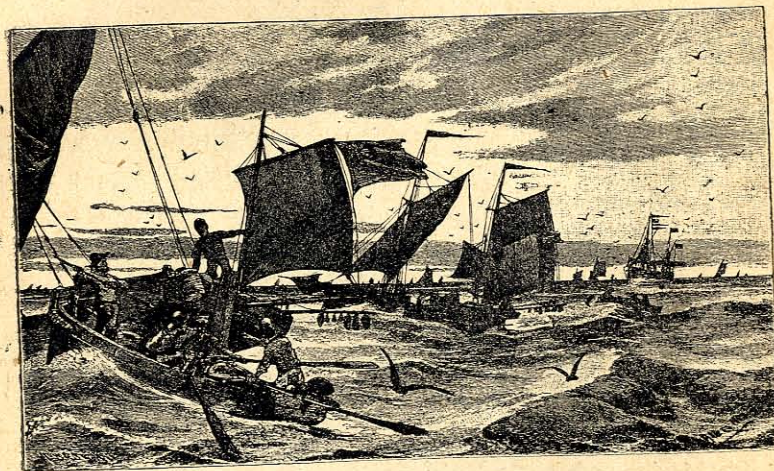
Dla przyrodnika ciekawą jest Szkocja pod względem budowy ziemi. Spotkać tu można skały najrozmaitszego układu geologicznego, ale najczęściej jest porfirów i bazaltów. Na najwyższym szczycie górskim, zwanym Ben-Newis, czyli „Skałą sięgającą nieba“, urządzoną jest wspaniała stacja do badania pogody.

Jeszcze więcej posępną i niedostępną od północnej Szkocji, jest tak zwana okolica Północnych gór. Okolice gór prawie zawsze pokryta jest mgłą, z pośród której przed oczami wędrowca nagle wyrastają groźne skalne olbrzymy, lub też w niej znikają. Robi to wrażenie jakichś strasznych sennych widziadeł. Wąskie przesmyki górskie podobne są do głębokich studzien, na dnie których czernieje woda. Panuje tu martwa cisza, przerywana tylko czasem szumem górskich potoków, wodospadów, lub pluskiem fal morskich uderzających o skalne ściany wglęboko wrzynających się w ład zatok morskich. Siedzibę ludzką napotkać tu bardzo trudno; nieraz spotyka się płaskowzgórza ciągnące się milę i więcej, na których oprócz piasku, kamieni, czasami bagnisk, nie widać ani jednego drzewka ani jednej chaty.

Wybrzeża Szkocji usiane są mnóstwem maleńkich wysepek, niektóre z nich są zupełnie niezaludnione. Mieszkańcy tych skalistych wysepek trudnią się prawie wyłącznie rybołówstwem i potrochu rolnictwem, kobiety zaś wyrobem wełnianych kraciastych ubrań, które sprzedawane są w Londynie pod nazwą szkockich wyrobów wełnianych.

Życie wyspiarzy płynie spokojnie i zgodnie, wymagania ich są bardzo małe, stosunki wzajemne pozbawione nienawiści i wyzysku, a jeżeli z kim walczą, to jedynie z mo-

rzem, które ich jest wrogiem i sprzymierzeńcem. Morze dostarcza im głównie środków do życia, ale często pozbawia ich również wszystkiego, co posiadają: kiedy jest niespokojne, a niebo zaciągnięte chmurami, to i wzrok wyspiarzy jest ponury; gdy zaś czysty lazur nieba przegląda się w spokojnym morzu, to rybak bez troski, z lubością patrzy na fale, popala fajeczkę i ładuje swoje przybory. I tak płynie dzień za dniem, dopóki i do tych wysepek nie dojdzie



Półw ryb na brzegach morskich.

wieść o wyborach do parlamentu. Rybacy rzucają wtedy swoje sieci, a kobiety warsztaty tkackie, i biegną słuchać mówcy — kandydata do parlamentu. Zebranie odbywa się zwykle na brzegu morza, pod gołym niebem, a szum fal morskich nie przeszkadza im uważnie słuchać mowy.

Okres wyborów prędko przemija i życie wyspiarzy płynie dalej swoim wązkim, jednostajnym korytem.

Najbliżej Szkocji leżą wyspy Orkadzkie; większość

ich pokryta jest pięknymi łąkami, które dają możliwość hodowli bydła. Jakby w przedłużeniu wysp Orkadzkich ciągną się wyspy Szetlandzkie; jest ich przeszło 100 i wszystkie należą do jednego właściciela. Z nich tylko 30 jest zaludnionych, reszta stanowi prosto grupy skał morskich, wystających nad powierzchnią morza. Gdziekolwiek skały te pokryte są cienką warstwą ziemi, na której rośnie trawa. Miejscami w zagłębieniach skał ciągną się torfiaste bagna. Na całym archipelagu znajduje się tylko jedno drzewo, wysokości około pięciu łokci, które, oczywista, oglądane bywa, jako wielka osobliwość. Znaczną grupę wysp Hebrydzkich dzieli od lądu Szkocji bardzo wąski pas morza, tak że na pierwszy rzut oka można wziąć te wyspy za część lądu oderwanego przez morze. Prawie wszystkie wyspy Hebrydzkie stanowią pustkowia, pozbawione roślinności, a brzegi ich często prostopadle wychodzą z morza. Wysepka świętej Hildy nawet dla mieszkańców Hebrydów stanowi jakieś zaklęte miejsce, z którego tylko czasami widać trochę światła Bożego. Dojazd do niej jest możliwy tylko w ciągu trzech letnich miesięcy; ludność jej stanowi 70 osób, które z trudem utrzymują swe życie, zajmując się rybołówstwem i łapaniem ptaków morskich w sidła.

Pomimo wszystkich niewygód i trudności, z jakimi mają do czynienia mieszkańcy tej wyspy, pokochali oni tak swój cichy, pracowity sposób życia, że opuszczają ją tylko w razie koniecznej potrzeby.

Z wysp Hebrydzkich najbardziej znaną jest wyspa Staffa, na której znajduje się sławna grota Fingala. Zdala wyspa wydaje się płaskowzgórzem; zbliżona dopiero różniamy całe szeregi słupów bazaltowych, śmiało ster-

czących z wody, której powierzchnia mieni się wszystkimi barwami tęczy. Bazaltowe sklepienie groty czyni ją podobną do jakiejś przepięknej świątyni — i kończy się widokiem na otwarte morze. Grota stopniowo się zwęża i ma 86 metrów długości. Jeżeli morze jest spokojne, to można dosyć daleko zapuścić się w głąb groty, prze-



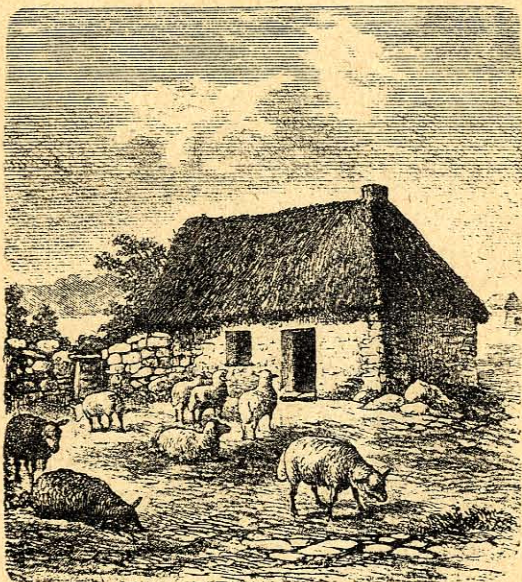
Rybaczka szkocka.

ślizgując się u podnóża bazaltowych kolumn. Fale morskie przepływają przez grotę i, uderzając o kolumny, wydają melodyjne dźwięki — i dlatego w starożytności zwali tę grotę „muzykalną pieczarą“.

Podczas burzy grota napelnia się szumem i świstem, powstają w niej wiry, wreszcie rozlega się jakby kanonada, którą słyhać na parę mil wokół. Według bajecznych Anglija.

podają groty te zbudowali olbrzymi dla bohatera Fingala, którego sławę opiewał starożytny szkocki śpiewak Ossjan.

W odległości około trzech naszych mil od wschodniego brzegu północnej Szkocji, na pełnym morzu, wznosi się sławna latarnia morska „Belrok“, budowa której pochło-



Dom rolnika irlandzkiego.

nęła wiele pracy i pieniędzy. Latarnia ta, szczególnie w czasie ciemnych i burzliwych nocy, uratowała wiele okrętów od rozbicia, a ludzi od śmierci, czyhającej u tych skalistych wybrzeży.

Cieśnina Świętego Jerzego przedziela Anglię od Królestwa Irlandji. Irlandję zamieszkuje około 8 milionów Irlandczyków i około miliona Anglików. Irlandczycy pocho-

dzą od Celtów i są żarliwymi katolikami; Anglicy od Anglo-Sasów i są wyznawcami kościoła anglikańskiego.

Irlandja jest krajem przeważnie rolniczym, ale biednym; główny przedmiot uprawy stanowią kartofle, które tam nieraz zapobiegły klęskom głodowym.

Z wyrobów przemysłu znane są doskonale płótna irlandzkie.



Wieśniak irlandzki.

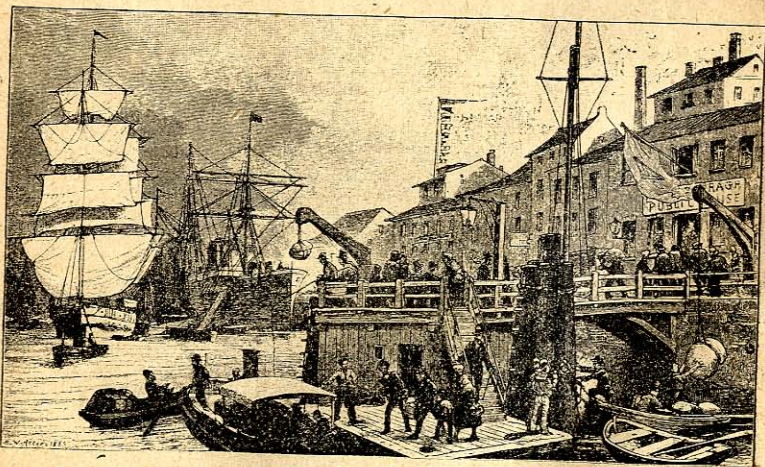
Henryk II-gi, król angielski, pozbawił Irlandję politycznej samodzielności w połowie dwunastego stulecia.

Od tej pory, z górą przez siedem wieków, Anglicy nieustannie, gnębili Irlandję moralnie i materjalnie, - aż w maju 1800 roku wyrodni posłowie irlandzcy za kilkanaście milionów funtów szterlingów poprostu sprzedali

Irlandję; zgodzili się najformalniej na zniesienie samodzielnego parlamentu Irlandzkiego w Dublinie (stolicy Irlandji), t. j. na utratę tej resztki niezależności, która im pozostała.

Zdawało się, że teraz i imię Irlandji i Irlandczyków zaginie,—że „lew“ brytański pożre doszczętnie celtyckiego „sokoła“. A otóż nieprawda.

Przeszło sto lat—i oto jesteśmy świadkami zupełnego ekonomicznego i politycznego odrodzenia Irlandji. Teraz



Przystań morska w Dublinie, stolicy Irlandji.

właśnie, w kwietniu 1908-go roku, wszystkie partie londyńskiej Izby gmin, z wyjątkiem zachowawców, zgodziły się zasadniczo na przyznanie Irlandji zupełnego samorządu w jej sprawach wewnętrznych. Oby stało się to jak najprędzej!

Historja zna już wiele podobnych przykładów.

K O



82.000

45648

Poleca się czytelnikom i przyjaciołom oświaty
tygodnik społeczno-oświatowy dla wsi i miast

pod nazwą:

POBUDKA

Wychodzi w Warszawie co czwartek
pod kierunkiem M. Brzezińskiego.

Pobudka zawiera wszystko to, co każdego dobrego i rozumnego obywatela kraju obchodzić może i powinno, a więc:

Wiadomości i artykuły bieżące z życia społecznego w kraju i na szerokim świecie; rozprawki naukowe z wszelkich dziedzin; listy i artykuły Czytelników o sprawach cały ogół obchodzących, — szczególniejsze dotyczące zakładania i prowadzenia spółek, kółek rolniczych, sklepów, fabryk spółkowych i tym podobnych zrzeseń; wskazówki, jak wychowywać młodzież, jak zakładać i prowadzić czytelnie, domy ludowe i t. p. **urządzenia oświatowe.**

Co tydzień znajdują Czytelnicy w **Pobudce** najświeższe wiadomości i przeglądy polityczne, ceny zboża, wskazówki z gospodarstwa rolnego, lub przemysłu i handlu.

Są też ciekawe powieści społeczne i historyczne, pamiętniki, zyciorysy i portrety ludzi zasłużonych, opisy ziemi polskiej, opowiadania o życiu i obyczajach innych narodów i t. d.

Liczne rysunki służą do wyjaśnienia i urozmaicenia treści **Pobudki**, — a od czasu do czasu nie zawadzą też wesole żarty, zagadki i inne łamigłówki.

Zawiadomienia o nowych książkach, odpowiedzi od Redakcji i ogłoszenia stanowią stałe uzupełnienie **Pobudki**.

„Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci“, — a „czego się Jaś nie nauczy, Jan nie będzie umiał“... To mając na względzie, dla zaprawienia także dziatwy ludu naszego do czytania, „POBUDKA“ posiada jeszcze dodatek „Rozrywki dla dzieci“, drukowany dużym pismem, zawierający miłe, a pouczające, czytanki z obrazkami.

Przedpłata na **POBUDKĘ** wynosi:

w Warszawie:

rocznie . . . 3 ruble
półrocznie . . 1 rubel 50 kop
kwartalnie . . — „ 75 kop.

z przesyłką pocztową:

rocznie 4 ruble
półrocznie 2 ruble
kwartalnie 1 rubel

Adres do listów i przesyłek pieniężnych:

Warszawa, ulica Warecka 14. Redakcja **POBUDKI**.